

wrogów. Za pięć dni mieliśmy zaatakować jedne-
go z nich, a jeśli nie, to ci drudzy – koszarne
peleryny – obiecali zaatakować ją... Albo nas...
Albo i ją, i nas. Training do tej bitwy miał rozpo-
cząć się zaraz po powrocie Riley'a. Zerknęłam na
drzwi, ale szybko zmusiłam się, by patrzeć z po-
wrotem w książkę. I jeszcze to, co mówiła przed
odwiedzinami nieznanym. Martwiła się o ja-
kąś decyzję. Cieszyła się, że ma tak wiele wampi-
rów, tak wielu żołnierzy.

A Riley ucieszył się, że Diego i ja przeżyliśmy...
Obawiał się, że stracił kolejną dwójkę w słońcu,
więc nie mógł wiedzieć, jak naprawdę wampiry re-
agują na światło. Tyle że jej reakcja była dziwna.
Zapytała, czy jest pewien... Pewien, że Diego prze-
żył, czy że... historia Diega jest prawdziwa?

Ta ostatnia myśl mnie przeraziła. Może ona
wie, że słońce nas nie rani? A skoro wie, to cze-
mu okłamała Riley'a, a pośrednio także i nas?
Dlaczego chciała nas trzymać w ciemności – do-
słownie i w przenośni? Dlaczego tak ważne było,
żebyśmy nie poznali prawdy? Aż tak ważne, że-
by ściągnąć kłopoty na Diega? Nagle wpadłam
w koszmarną panikę, zupełnie mnie zamurowało.
Gdybym mogła się pocić, byłabym już całkiem
mokra. Musiałam skupić się na czynności prze-
wracania kartek, by nie podnieść przerażonego
wzroku.

Czy Riley'a także okłamywała, czy może był we
wszystko wtajemniczony?

Gdy przyznał, że myślał, iż dwoje mu się spa-
liło w słońcu, to nie wiedział, że słońce nam nie
szkodzi, czy udawał, że nie wie? Jeśli to drugie,
to nasze odkrycie mogło nam przynieść zglubę.
Mój umysł pracował jak szalony. Próbowałam
uporządkować myśli, ale bez Diega było mi
trudno. Potrzebowałam kogoś, z kim mogłabym
pogadać, przedyskutować to wszystko, łatwiej
byłoby mi wtedy się skoncentrować. A tak – do
mojej głowy wkradł się strach, któremu nie-
zmiennie towarzyszyło wszechobecne pragnie-
nie. Żądza krwi zawsze brała górę. Nawet teraz,
choć byłam przyzwyczajona do nakarmiona, czułam żar
w gardle.

Myśl o niej, myśl o Riley'u, powtarzałam so-
bie. Musiałam zrozumieć, czemu kłamią – jeśli
kłamią – by pojąć, co wynika z faktu odkrycia
przez Diega ich tajemnicy. Gdyby nas nie okla-
mywali, gdyby od razu, na początku, powie-
dzieli nam, że dzień jest dla wampirów równie
bezpieczny jak noc, co by to zmieniło? Próbo-
wałam sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby-
śmy nie musieli stędzieć zamknięci w tej kosz-
marnej piwnicy, gdyby cała grupa dwudziestu
jeden wampirów (teraz już pewnie niekomplet-
na, w zależności od tego, jak „dogadali się” po-

lujący) mogła robić, co tylko by chciała i kiedy tylko by chciała.

Chcieliśmy polować. To akurat jasne. Jeśli nie musieliśmy wracać do domu, nie musieliśmy się ukrywać... cóż, wielu z nas pewnie nie wracałoby zbyt regularnie. Trudno wysiedzieć w domu, gdy rządzi nami pragnienie. Ale Riley tak skutecznie wpoił nam strach przed spaleniem, przed tym, że znów poczujemy ten okropny ból, którego doświadczyliśmy w trakcie przemiany... Wyłącznie dlatego potrafiliśmy się zmusić do powrotu. Tylko instynkt samozachowawczy był silniejszy niż pragnienie. I on trzymał nas razem. Oczywiście, istniały też inne kryjówki niż dom, na przykład jaskinia Diega, ale tylko on jeden wpadł na podobny pomysł. Mieliśmy bazę, więc do niej wracaliśmy. Trzeźwość umysłu nie jest charakterystyczną cechą wampirów, zwłaszcza młodych. To Riley myślał racjonalnie, Diego także – bardziej niż ja. Wampiry w pelerynach były przerażająco inteligentne. Przeszył mnie dreszcz. A więc nie zawsze będą nami kierowały instynkty. Co się stanie, gdy podrośniemy, zacniemy jaśniej myśleć? Zauważyłam, że nikt tutaj nie był starszy od Rileya. Wszyscy byliśmy nowi. On a potrzebowała nas teraz, by pokonać tajemniczego wroga. Ale co potem?

Miałam przecucie, że wolałabym się tego nie dowiedzieć. I nagle zrozumiałam coś absolutnie

oczywistego. Przyszła mi do głowy myśl, która nie dawała mi spokoju już wcześniej, gdy tropiliśmy z Diegiem naszą grupę w poszukiwaniu obecnego domu. Nie chciałam tu być, nie chciałam zostawać tu ani jednej nocy dłużej. Zamarłam i znów zaczęłam się nad tym zastanawiać.

Jeśli Diego i ja nie domyśliłbyśmy się, dokąd zmierza cała grupa, czy kiedykolwiek byśmy ich odnaleźli? Zapewne nie. A przecież była to dwudziestka wampirów zostawiających wyraźny trop. A jeśli byłby to jeden wampir, który poruszałby się i po ziemi, i po drzewach, a może i po wodzie, nie zostawiając śladu... Jeden, może dwa wampiry, wypływające w morze tak daleko, jak się da... Wychodzące na ląd dopiero w... Kana-dzie, Kalifornii, Chile, Chinach... Nigdy nie udaliby się odnaleźć takich dwóch wampirów. Zniknęłyby, jakby rozplynęły się w powietrzu. Nie musieliśmy wcale wracać do domu zeszłej nocy! Nie powinniśmy byli wracać! Czemu wtedy o tym nie pomyślałam?

Ale... czy Diego by się na to zgodził? Nagle przestałam być taka pewna siebie. Czy jednak Diego nie był bardziej lojalny wobec Rileya niż wobec mnie? Czy nie uznałby, że jego obowiązkiem jest stać przy boku Rileya? Znał go przecież dużo dłużej – ze mną przyjaźnił się od wczoraj. Czy Riley był mu bliższy niż ja? Rozmyślałam nad tym, marszcząc czoło.

Cóż, mogłabym się tego dowiedzieć, gdyby tylko udało nam się przez chwilę porozmawiać na osobności. Poza tym jeśli nasz tajny klub naprawdę był dla niego ważny, nie miało znaczenia, co zaplanowała dla nas o n a. Moglibyśmy zniknąć we dwójkę, a Riley albo musiałby poradzić sobie z dziewiętnastką wampirów, albo szybko stworzyć nowe. Tak czy owak, to nie byłby nasz problem. Nie mogłam się doczekać, aż zdradzę swój plan Diegowi. Instynkt podpowiadał mi, że zgodzi się ze mną. Taką przynajmniej miałam nadzieję.

Nagle wpadło mi do głowy coś jeszcze. Co naprawdę stało się z Shelly, Steve'em i innymi nowo narodzonymi, którzy zniknęli? Wiedziałam teraz, że na pewno nie spalili się w słońcu. Czy Riley twierdził, że widział ich prochy, tylko po to, żeby podporządkować sobie pozostałych? Abyśmy zawsze wracali do domu o świcie? Może Shelly i Steve po prostu odeszli z własnej woli? Ponieważ mieli dość Raoula. Dość wrogów i armii zagrażających ich najbliższej przyszłości. Może to właśnie miał na myśli Riley, mówiąc, że stracił ich w słońcu? Po prostu uciekli! I dlatego właśnie ucieszył się, że Diego nie zniknął, prawda?

Gdybyśmy tylko zdecydowali się nie wracać! Moglibyśmy już być wolni, tak jak Shelly i Steve. Żadnych ograniczeń, żadnego strachu przed wschodem słońca!

Znów wyobraziłam sobie całą naszą hordę puszczoną bez kontroli i godziny policyjnej. Wiedziałam, jak razem z Diegiem poruszamy się w cieniu niczym wojownicy ninja. Ale widziałam także Raoula, Kevina i pozostałych, szalejących naczyniach świecące potwory w centrum zatłoczonego miasta, stopy ciał, bezradnych policjantów z bronią, która nie robi nam krzywdy, kamery, panikę rozprzestrzeniającą się w zastraszającym tempie, zdjęcia w gazetach na całym świecie, słyszałam krzyki i loskot helikopterów. Wampiry nie mogą długo pozostać w ukryciu. Nawet Raoul nie potrafił zabić ludzi tak niepostrzeżenie, by zachować to w sekrecie.

Wszystko to wydawało się całkiem logiczne i próbowałam poukładać sobie kolejne informacje, zanim znów coś mnie rozproszy. Po pierwsze: ludzie nie wiedzą o istnieniu wampirów. Po drugie: Riley zakazał nam się wychylać, zwracać na siebie uwagę ludzi czy uświadamiać ich co do naszego istnienia. Po trzecie: Diego i ja stwierdziliśmy, że najwyraźniej wszystkie wampiry zachowują się tak samo, skoro świat wciąż się o nas nie dowiedział. Po czwarte: zdecydowanie wszystko to ma jakąś przyczynę i z pewnością nie chodzi tu o strach przed policją. Tak, musi istnieć poważny powód, dla którego wszystkie wampiry tłoczą się całymi dniami w dusznych piwnicach. I widocznie jest on tak

istotny, że Riley i nasza stwórczyni musieli kłamać, strasząc nas palącym słońcem. Może Riley zdradzi ten powód Diegowi, który jest odpowiedzialny i zajmuje ważne miejsce w naszej grupie. Diego obieca, że zachowa tę wiadomość w tajemnicy, i jakoś się dogadają. Na pewno. A co, jeśli Shelly i Steve odkryli, że w słońcu nie płoną, ale nie uciekli? Co, jeśli poszli z tym do Riley'a?

Cholera, te pytania same się nasuwały. Co stało się z nimi potem? Znow zaczęłam bać się o Diega. Zorientowałam się, że straciłam poczucie czasu i zaczyna już świtać. Za godzinę powinno wzejść słońce. Ale gdzie był Diego? I Riley?

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i wpadł Raoul ze swoimi kumplami, zaśmiewając się do rozpuku. Skuliłam się i zbliżyłam do Freda. Raoul nas nie zauważył. Spojrzał tylko na resztki usmażonego wampira leżące na środku podłogi i zaśmiał się jeszcze głośniejszym głosem. Jego oczy miały barwę jaskrawej czerwieni.

Kiedy Raoul wychodził na polowanie, wracał do domu w ostatniej chwili. Pił tak długo, jak mógł. Widocznie świt był jeszcze bliżej, niż mi się zdawało.

Najpewniej Riley zażądał, by Diego udowodnił słuszność swoich słów. To było jedyne wytłuma-

czenie. Razem czekali na wschód słońca. Ale to oznaczałoby, że Riley nie znał prawdy, że ona okłamywała także jego. Czy tak właśnie było? Moje myśli znow zaczęły szaleć.

Kilka minut później pojawiła się Kristie z trzema wampirami ze swojej grupy. Obojętnie spojrzała na stosik popiołów. Policzylam wszystkich, gdy pozostali wrócili do piwnicy. Dwudziestka. Wszyscy oprócz Diega i Riley'a. Słońce mogło wzejść w każdej chwili. Drzwi na górze skrzypnęły, gdy ktoś zaczął je otwierać. Zerwałam się na równe nogi. Do domu wszedł Riley. Zatrzasnął za sobą drzwi i zszedł po schodach.

Był sam.

Zanim zdążyłam to przetrawić, Riley wydał z siebie zwierzęcy ryk gniewu. Wpatrywał się w popioły na podłodze, a oczy aż wychodziły mu z orbit. Wszyscy zamarli bez słowa. Widzieliśmy już, jak Riley wpada we wściekłość, ale to było coś innego.

Odwrócił się na pięcie, wbił palce w wiszący obok dudniący głośnik, zerwał go ze ściany i rzucił przez cały pokój. Jen i Kristie odskoczyły, gdy kolumna wybuchła w drugim końcu piwnicy, wzbijając chmurę kurzu i tynku. Riley zmiądzzył stopą więź stereo i głucho dudnienie nagle ustało. Potem doskoczył do Raoula i złapał go za gardło.

– Nawet mnie tu nie było! – wrzasnął Raoul, przestraszony jak nigdy. – Nie mam pojęcia, co się stało!

Riley znów ryknął okropnie i rzucił Raoulem tak samo jak przedtem głośnikiem. Jen i Kristie znów uskokczyły na boki. Ciało Raoula walnęło o ścianę, robiąc w niej gigantyczną dziurę. Potem Riley złapał za ramię Kevina i zaczął wyrywać mu prawą rękę, czemu towarzyszył znajomy pisk. Kevin wrzasnął z bólu i próbował uwolnić się z uścisku napastnika. Riley kopnął go w bok. Usłyszeliśmy kolejny ryk i ręka oderwała się od ciała. Riley przelał ją na pół i odrywając kolejne kawałki, zaczął rzucać nimi w przerażoną twarz Kevina – pac, pac, pac – słychać było kolejne uderzenia.

– Co z wami?! – wrzeszczał Riley. – Dlaczego wszyscy jesteście tacy durni? – Sięgnął ręką po znajomego blondynka, lecz chtopak wymknął mu się w ostatniej chwili. Niechcący znalazł się za blisko Freda i szybko przyczoił się z powrotem do Riley'a, tłumiąc odruch wymiotny. – Czy ktokolwiek tutaj ma rozum?

Riley rzucił młodego imieniem Dean prosto w zestaw do gier, niszcząc go zupełnie, a potem złapał dziewczynę, Sarę, oderwał jej lewe ucho i wyrwał garść włosów. Warknęła ze złości. Nagle stało się jasne, że Riley robi coś bardzo niebezpiecznego. Było nas tu zbyt wielu. Raoul pod-

niósł się, a Kristie i Jen – z którymi zwykle się kłócił – osłaniały go z dwóch stron, gotowe go bronić. Inne wampiry zebrały się w grupkach w różnych miejscach piwnicy.

Nie byłam pewna, czy Riley zdał sobie sprawę z zagrożenia, czy po prostu jego atak dobiegł końca. W każdym razie wziął głęboki oddech, odrzucił Sarze jej ucho i włosy. Odsunęła się od niego, polizała rozdartą krawędź ucha, pokrywając ją jadem, i umieściła ucho z powrotem na swoim miejscu. Niestety, na wyrwane włosy nie było lekarstwa – do końca życia miały jej już nie odrosnąć.

– Posłuchajcie mnie – Riley mówił cicho, ale zdecydowanie. – Nasze życie zależy od tego, czy posłuchacie, co mam do powiedzenia, i czy zaczniiecie myśleć. Wszyscy zginiemy. Wszyscy zginiemy, wy i ja, jeśli przez kilka dni nie będziecie umieli choćby poudawać, że macie w głowach mózgi.

To już nie było zwykle ostrzegawcze przemówienie i prośba o trzymanie nerwów na wodzy. Tym razem wszyscy uważnie go słuchali.

– Czas, byście dorośli i wzięli za siebie odpowiedzialność. Myślicie, że możecie tak żyć za darmo? Że cała ta krew, którą pijecie w Seattle, nie ma swojej ceny?

Małe grupy wampirów nie wyglądały już tak groźnie. Wszyscy patrzyli na Riley'a szeroko otwartymi oczami, niektórzy tylko wymieniali za-

ciekawione spojrzenia. Kątem oka widziałam, że Fred odwraca głowę w moją stronę, ale nie spojrzałam na niego. Skupiłam się tylko na dwóch rzeczach: na Rileyu – na wszelki wypadek, gdyby znów zaczął atakować – oraz na drzwiach. Wciąż zamkniętych drzwiach.

– Teraz mnie słuchacie? Naprawdę uważnie? – Riley urwał, ale wszyscy milczeli, nikt nawet nie pokijał głową.

– Pozwólcie, że wyjaśnię wam niebezpieczną sytuację, w jakiej się znaleźliśmy. Spróbuję mówić prosto, aby zrozumieli mnie nawet ci, którzy myślą najwolniej. Raoul, Kristie, podjeździe tutaj.

Wskazał na przywódców dwóch największych grup, którzy w tej chwili sprzymierzyli się przeciwko niemu. Żadne się nie poruszyło. Stali w obronnej pozycji, a Kristie odsłoniła zęby.

Czekałam, aż Riley zmięknie i ich przeprosi. Udobrucha, a potem przekona do tego, co chciał zrobić. Ale to był już inny Riley.

– Dobra! – warknął. – Jeśli mamy przeżyć, będziemy potrzebowali przywódców, ale najwyraźniej żadne z was nie podoba temu zadaniu. Myślałem, że macie talent, lecz widocznie się myliłem. Kevin, Jen, przyłączcie się do mnie, proszę, jako dowodzący tym zespołem.

Zdziwiony Kevin podniósł wzrok. Właśnie skończył przymocowywanie ręki do ciała. Choć

widać było, że jest ostrożny, propozycja Riley'a oczywiście mu pochlebiła. Powoli się podniósł. Jen spojrzała na Kristie, jakby czekała na pozwolenie. Raoul tylko zazgrzytał zębami.

Drzwi u szczytu schodów wciąż były zamknięte.

– Ty też nie dasz rady? – spytał Riley z irytacją.

Kevin zrobił krok w jego kierunku, ale wtedy Raoul przemierzył piwnicę dwoma długimi skokami i go dogonił. Bez słowa popchnął kumpla na ścianę i stanął z prawej strony Riley'a. Ten pozwolił sobie na ledwie zauważalny uśmiech. Manipulacja może nie była zbyt subtelna, ale za to skuteczna.

– Kristie czy Jen? Która nas poprowadzi? – spytał Riley, a w jego głosie usłyszałam lekkie rozbawienie.

Jen wciąż czekała na jakiś znak od Kristie. Ta zaś przez chwilę patrzyła na nią, a potem odgarnęła z twarzy jasne włosy i sekundę później stała przy drugim boku Riley'a.

– Zbyt długo się decydowaliście – oznajmił poważnym tonem Riley. – Nie mamy już tego luksusu, by się nie śpieszyć. Koniec z wygłupami. Do tej pory pozwalałem wam robić z grubszą wszystkim, na co mieliście ochotę, ale od dzisiaj koniec z tym.

– Rozejrzal się po pokoju, patrząc wszystkim w oczy, jakby sprawdzał, czy słuchamy. Gdy odszukał mój wzrok, przez chwilę odważałam się jego spojrzenie, a potem na powrót wbiłam oczy

w drzwi. Opamiętałam się natychmiast, ale na szczęście Riley już sprawdzał następnych. Zastanawiałam się, czy zauważył, że tak naprawdę myślę o czymś innym. I czy w ogóle mnie widział, stojącą obok Freda?

— Mamy wroga — oznajmił Riley. Potem zamilkł na chwilę i widziałam, że jego słowa były sporym zaskoczeniem dla kilkunastu wampirów obecnych w piwnicy. Wrogiem był Raoul albo — jeśli trzymał się z Raoulem — Kristie. Wróg był tutaj, bo cały nasz świat był tutaj. Nawet sama myśl, że istnieją jakieś siły potężniejsze od nas, wielu z nas wydała się zadziwiająca. Zresztą jeszcze poprzedniego dnia myślałabym tak samo.

— Kilkoro z was, tych bardziej inteligentnych, mogło się już domyślić, że skoro istniejemy my, istnieją także inne wampiry. Inne wampiry, które są starsze, mądrzejsze, bardziej utalentowane. Inne wampiry, które pragną naszej krwi!

Raoul syknął, a wraz z nim kilku jego popleczyków.

— A jednak to prawda. — Riley prawdopodobnie chciał ich jeszcze podkręcić. — Kiedyś Seattle należało do nich, ale wynieśli się stąd dawno temu. Teraz się o nas dowiedzieli i poczuli zazdrość, że mamy dostęp do łatwej krwi. Wiedzą, że należy do nas, ale chcieliby ją odzyskać. Przyjdą po to, czego potrzebują. Wytropią nas jedno po drugim. Będą ucztować na naszych prochach!

— Nigdy — warknęła Kristie. Niektórzy z kompanów jej i Raoula zrobili to samo.

— Nie mamy wielkiego wyboru — oświadczył Riley. — Jeśli będziemy czekać, aż pojawią się tutaj, zdołają nad nami przewagę. To jest ich teren. Nie chcą zmierzyć się z nami wszystkimi naraz, bo nas jest więcej i jesteśmy silniejsi. Chcą nas wylapać pojedynczo, chcą wykorzystać naszą największą słabość. Jesteście dość zmyślni, by wiedzieć, co to jest? — Wskazał na prochy u swoich stóp, teraz wdeptane w dywan tak, że nie dało się rozpoznać, iż jeszcze niedawno był to wampir, i czekał.

Nikt się nie poruszył.

Riley warknął z irytacją:

— Brak jedności! — krzyknął. — Jedność tutaj nie istnieje! Jakże możemy stanowić zagrożenie, jeśli nie przestaniemy się nawzajem zabijać? — Kopnął stos popiołów, posyłając w górę mały czarny obłok. — Wyobrażacie sobie, jak się z nas śmieją? Z łatwością odbiorą nam miasto. Sądzą, że jesteśmy słabi i głupi. Myślą, że podamy im naszą krew na tacy.

Teraz już połowa wampirów warknęła w proceście.

— Umiecie działać razem czy wszyscy mamy umrzeć?

— Złatwimy ich, szefie! — ryknął Raoul.

Riley spojrzął na niego krzywo.

— Nie, jeśli nie nauczycie się nad sobą panować! Nie, jeśli nie nauczycie się działać wspólnie.

Każdy wampir, którego zniszczyliście – znów trącił stopą prochy – mógł być tym, który ocaliłby was życie. Każdy wampir z naszego zgromadzenia, którego zabijacie, jest jak prezent dla naszego wroga. *Masz, mówicie, zabij mnie!*

Kristie i Raoul, i wszyscy pozostali spojrzeli na siebie tak, jakby widzieli się pierwszy raz w życiu. Znalismy słowo „zgromadzenie”, ale żadne z nas nie używało go, mówiąc o tej grupie. A przecież byliśmy zgromadzeniem.

– Opowiem wam coś o naszych wrogach – ciągnął Riley. Wbiliśmy w niego wzrok. – Są dużo starszym zgromadzeniem niż my. Chodzą po ziemi od setek lat i nie przypadkiem przeżyli tak długi czas. Są zdolni, inteligentni i przyjdą odebrać nam Seatle. Będą bardzo pewni siebie – ponieważ słyszeli, że mają walczyć z bandą niezorganizowanych gnojników, którzy i tak odwalili już za nich połowę roboty!

Kolejne warknięcia, ale tym razem bardziej nieufne niż wściekłe. Kilku spokojniejszych wampirów, które Riley nazwałby oswojonymi, wyglądało na przestraszonych. To także zauważył i powiedział:

– Tak właśnie nas postrzegają, ale to tylko dlatego, że nie widzą nas razem. A razem możemy ich zniszczyć. Gdyby zobaczyli nas stojących ramię w ramię, walczących wspólnie, przeraziłiby się. I tak właśnie się stanie. Bo nie będziemy cze-

kać, aż przyjdą tutaj i zaczną nas po kolei zabijać. Zaskoczmy ich. Za cztery dni!

Cztery dni? Widocznie nasza stwórczyni nie chciała czekać do ostatniej chwili. Znow spojrzaliśmy na zamknięte drzwi. Gdzie podziewał się Diego?

Jedni przyjęli tę zapowiedź ze zdumieniem, inni – z przestraszaniem.

– To ostatnie, czego się spodziewają – zapewnił Riley. – Wszystkich nas, razem, gotowych do walki. A najlepsze zachowaniem na koniec. Jest ich tylko siedmioro.

Zapadła pełna niedowierzania cisza.

Pierwszy odezwał się Raoul:

– Co?!

Kristie wpatrywała się w Riley'a kompletnie zaskoczona, a w piwnicy rozległy się zduszone szepty.

– Siedmioro?

– Żartujesz sobie?

– Hej! – warknął Riley. – Nie żartowałem, mówiąc, że ich zgromadzenie jest niebezpieczne. Są inteligentni i przebiegli. Podstępni. My będziemy mieli przewagę liczebną, ale oni są sprytniejsi. Jeśli będziemy chcieli ich przechytrzyć, przegramy. Ale jeśli zmusimy ich do walki na naszych warunkach... – Riley nie dokończył zdania, jedynie się uśmiechnął.

– Ruszajmy od razu – wyrwał się Raoul.

– Sprzątnijmy ich jak najszybciej – Kevin zarządził entuzjastycznie.

– Uspokójcie się, barany. Pośpiech w niczym tu nie pomoże – uciszył ich Riley.

– Powiedz nam wszystko, co powinniśmy o nich wiedzieć – zachęciła Kristie, rzucając Raoulowi spojrzenie pełne wyższości.

Riley zawahał się, jakby zastanawiał się, co może powiedzieć.

– No dobrze, od czego mam zacząć? Chyba najważniejsze, co musicie wiedzieć, to to, że... nie wiecie jeszcze wszystkiego o wampirach. Na początku nie chciałem was tym przytłoczyć.

Kolejna chwila ciszy. Wszyscy wyglądali na dezorientowanych.

– Doświadczylście już co nieco tego, co nazywamy talentami. Mamy tu Freda.

Spojrzelśmy na Freda – czy raczej próbowałismy. Z miny Rileya wywnioskowałam, że Fred nie lubi być wyróżniany, i kiedy tylko został wspomniany, podkręcił na maksa swój „talent”. Riley skrzywił się i odwrócił wzrok. Ja wciąż nic nie czułam.

– Cóż, no tak, są pewne wampiry, które posiadają zdolności inne niż wielka siła i wyostrzone zmysły. Zauważyliście to w... naszym zgromadzeniu. – Uważał, by znów nie wymówić imienia Freda. – Takie talenty są rzadkie, ma je może jeden na pięćdziesiąt wampirów, ale każdy z nich jest inny.

Istnieją bowiem bardzo różne dary, a niektóre są silniejsze od innych.

Wśród wampirów rozległy się pomruki ciekawości – każdy zastanawiał się, jaki może mieć talent. Raoul szczyrzył się, jakby już odkrył w sobie cudowne umiejętności. Ale mnie zdawało się, że pewne słusznie, że jedynym tutaj wyjątkowym wampirem był ten stojący tuż obok mnie.

– Słuchajcie mnie! – rozkazał Riley. – Nie opowiadałam wam tego dla rozrywki.

– Ci z wrogięgo zgromadzenia – wtrąciła się Kristie – mają te dodatkowe talenty, tak?

Riley kiwnął głową.

– Otóż to. Cieszę się, że ktoś tutaj ma choć odrobinę oleju w głowie.

Górna warga Raoula drgnęła, odsłaniając nieco zęby.

– Ich zgromadzenie jest wręcz niebezpiecznie utalentowane – mówił Riley, ścisząc głos do scenicznego szeptu. – Jeden z nich czyta w myślach. – Spojrzał na nas, sprawdzając, czy rozumiemy istotę takiego daru. Dostrzegł jednak, że nie łapiemy, o co chodzi. – Myście! Będzie wie-dział, co wam chodzi po głowach. Zanim zaatakujecie, on już odgadnie, jaki chcecie wykonać ruch. Pójdźcie w lewo, on już tam będzie czekał.

Gdy zaczęliśmy to sobie wyobrażać, ogarnęło nas nerwowe odrętwienie.

— Dlatego byliśmy tacy ostrożni — ja i ta, która was stworzyła.

Kristie odsunęła się od Rileya, gdy tylko wspomniał o niej. Raoul wyraźnie się zdenerwował. Wszyscy staliśmy w napięciu.

— Nie znacie jej imienia i nie wiecie, jak wygląda. To wszystkich nas chroni. Jeśli tamci natkną się na kogoś z was osobno, nie będą wiedzieli, że jesteście związani z nią, i może puszczać was wolno. Lecz jeśli odkryją, że należycie do naszego zgromadzenia, zglądzą was bez wahania.

Coś mi tu nie grało. Czy nie chodziło jednak o to, że cała tajemnica chroniła bardziej ją niż wiając nam czasu do namysłu.

— Oczywiście, teraz to nie ma znaczenia, skoro i tak postanowili zaatakować w Seattle. Zaskoczymy ich, kiedy będą tu zmierzali, i unicestwimy — tu przerwał i gwizdnął przeciągle. — I już. A wtedy nie tylko to miasto będzie należeć do nas, ale też inne zgromadzenia dowiedzą się, że nie można z nami zadzierać. Już nie będziemy musieli być tak ostrożni i wciąż zacierać śladów. Dostaniecie tyle krwi, ile tylko zechcecie, wszyscy. Polowania każdego wieczoru! Przeprowadzimy się do miasta i będziemy nim władać!

Warknięcia i okrzyki były jak aplauz. Wszystkie wampiry głośno dawały wyraz swemu poparciu dla Rileya. Oprócz mnie. Nie drgnęłam,

nie wydałam z siebie żadnego dźwięku. Podobnie jak Fred, ale akurat jego myśli nikt nie odgadnie. Nie wspierałam Rileya, bo jego obietnice brzmiały nieszczerze. Albo całe moje rozumowanie było błędne. Riley powiedział, że tylko ci wrogowie powstrzymują nas przed nieograniczonym polowaniem. Ale to nie pasowało do faktu, że wampiry muszą wciąż działać dyskretnie, bo inaczej ludzie dowiedzieliby się o nich już dawno temu. Nie potrafiłam skupić się na tyle, by zrozumieć z tego coś więcej, zwłaszcza że drzwi u szczytu schodów wciąż się nie otworzyły.

Diego...

— Jednak musimy to zrobić razem. Dziś pokażę wam pewne pożyteczne techniki. Techniki walki. To bowiem coś więcej niż tarzanie się po podłodze jak banda dzieciaków. Kiedy się ściemni, wyjdziemy na zewnątrz i będziemy ćwiczyć. Chcę, byście ciężko pracowali i pamiętali o celu. Nie zgadzam się, aby to zgromadzenie straciło kolejnego członka! Potrzebujemy siebie nawzajem — wszyscy. Nie będę też tolerował głupoty. Jeśli zdaje się wam, że nie musicie mnie słuchać, to się mylicie. — Zamilkł na chwilę, przybierając inny wyraz twarzy. — A do wiecie się, jak bardzo się mylicie, kiedy zabiorę was do niej... — przeszedł mnie dreszcz, jak zapewne wielu innych, sądząc po ich twarzach — ...i będę was trzymać, kiedy o n a zacznie odrywać wam nogi, a potem powoli, powolutku spali wasze palce,

uszy, wargi, język i wszystkie pozostałe zbędne członki... jeden po drugim.

Wszyscy straciłiśmy już kiedyś przynajmniej jedną kończynę, no i płonęliśmy, gdy przeobrażaliśmy się w wampiry, więc z łatwością potrafiłiśmy sobie wyobrazić, co to za ból. Ale to nie groźba była w tamtej chwili najbardziej przerażająca. Większe wrażenie zrobiła na nas twarz Riley'a, kiedy nam groził: nie była skrzywiona z wściekłości, tak jak zwykle, gdy nas karcił; pozostała spokojna, zimna, gładka i piękna. Tylko usta wygięły się w nieznacznym uśmiechu. Nagle odniosłam wrażenie, że to jakiś nowy Riley. Coś się w nim zmieniło, zahartowało go, ale nie miałam pojęcia, co takiego mogło się stać w jedną noc – co wywołało ten okrutny, idealny uśmiezek.

Odwróciłam wzrok i zadrżałam, gdy zobaczyłam wyraz twarzy Raoula. Uśmiechał się, naśladując Riley'a, a ja prawie widziałam, jak w jego głowie obracają się trybiki. Już wiedział, że w przyszłości nie będzie tak szybko zabijał swych ofiar.

– A teraz stwórzmy zespoly, żeby pracować w mniejszych grupach – polecił Riley z normalną już miną. – Kristie, Raoul, zbierzcie swoje dzieciaki, a potem równo podzielcie resztę. Żadnej biatyki! Udowodnijcie, że potraficie to zrobić jak należy. Wykażcie się.

Zostawił ich na środku piwnicy i nie zwracał już uwagi na to, że natychmiast zaczęli się kłócić.

Podchodził do kolejnych wampirów i dotykał ich ramion, popychając w stronę nowych liderów. Nie zorientowałam się, że Riley, krążąc po całej piwnicy, zmierza tak naprawdę w moją stronę.

– Bree – odezwał się, patrząc w miejsce, gdzie stałam. Zdawało mi się, że sprawia mu to trudność. Stałam nieruchoma jak słup soli, ale pewnie wyczuł mój trop. Już nie żyłam. – Bree? – powtórzył, tym razem miłszym głosem. Przypominał mi dawnego Riley'a, z dnia, w którym się poznaliśmy, gdy jeszcze był dla mnie dobry. Po chwili dodał ciszej: – Obiecałem Diegowi, że przekażę ci wiadomość. Kazał mi powiedzieć, że to sprawa wojowników ninja. Rozumiesz coś z tego? – Wciąż z jakiegoś powodu nie mógł mnie zobaczyć, ale był już bardzo blisko.

– Diegowi? – wymamrotałam.

Nie mogłam się powstrzymać. Riley uśmiechnął się lekko.

– Możemy porozmawiać? – Wskazał głową na drzwi wyjściowe. – Sprawdziłem wszystkie okna na górze. Parter jest absolutnie ciemny i bezpieczny.

Wiedziałam, że jeśli oddalę się od Freda, nie będę już bezpieczna, ale musiałam usłyszeć, co Diego chciał mi przekazać. Co się stało? Powinam była z nim zostać i spotkać się z Rileyem.

Szłam przez piwnicę, nie podnosząc głowy. Riley wydał Raoulowi kilka poleceń, skinął głową

Kristie i ruszył schodami na górę. Kątem oka widziałam, że kilkoro wampirów patrzy z ciekawością w naszym kierunku.

Riley otworzył drzwi; kuchnia – jak obiecał – była pogrążona w całkowitych ciemnościach. Gestem polecił mi iść za sobą i poprowadził mnie przez ciemny korytarz. Minęliśmy otwarte drzwi do kilku sypialni, a potem kolejne, zaryglowane. W końcu dotarliśmy do garażu.

– Jesteś odważna – ocenił Riley niskim głosem. – Albo bardzo ufna. Myślałem, że będę musiał dłużej cię przekonywać, abys weszła ze mną na górę w biały dzień.

Do diabła! Powinnam była dłużej zwlekać. Ale już za późno. Wzruszyłam jedynie ramionami.

– A więc ty i Diego jesteście ze sobą blisko? – spytał Riley szeptem. Może gdyby w piwnicy panowała cisza, ktoś by go usłyszał, ale w tej chwili było tam dość głośno.

Znów wzruszyłam ramionami.

– Uratował mi życie – wyszeptałam.

Podniósł brodę, ale tylko nieznacznie, jakby chciał przytaknąć. Czy wierzył? Czy myślał, że wciąż boję się światła?

– Jest najlepszy – oświadczył Riley. – Najmądrzejszy nowo narodzony, jakiego mam.

Skinęłam głową.

– Mieliśmy małe spotkanie w sprawie całej tej sytuacji. Uzgodniliśmy, że potrzebujemy obser-

watora. Zbyt niebezpiecznie jest działać na ślepo. A tylko Diegowi mogą ufać na tyle, aby zlecić mu rozpoznanie. – Westchnął głośno, prawie że złością. – Szkoda, że nie mam takich dwóch! Raoul jest zbyt wybuchowy, a Kristie zbyt zajęta sobą, żeby mieć dobry ogląd sytuacji. Niestety, lepszych od nich nie mam, muszę sobie jakoś radzić. Diego mówił, że ty też jesteś zmyślna.

Czekałam, nie wiedząc, co Diego powiedział Rileyowi.

– Chcę, żebyś mi pomogła z Fredem. Ten chłopak jest naprawdę mocny. Nie mogłem nawet na niego dzisiaj spojrzeć.

Znów ostrożnie przytaknęłam.

– Wyobraź sobie, co by było, gdyby nasi wrogowie nie mogli nas zobaczyć. Tak łatwo by nam z nimi poszło!

Obawiałam się, że Fred nie pochwaliby tego pomysłu, ale może nie miałam racji. Zdawał się w ogóle nie przejmować naszym zgromadzeniem. Czemu więc miałby chcieć nas ocalić? Zachowałam te myśli dla siebie.

– Spędzasz z nim dużo czasu.

Kolejne wzruszenie ramion.

– Nikt się mnie przy nim nie czepia, ale to niełatwe.

Riley wydał wargi i pokłiwał głową.

– Zmyślna, tak jak mówił Diego.

– Gdzie on jest?

Nie powinienam była o to pytać. Słowa same wyrwały mi się z ust. Czekałam nerwowo na odpowiedź, usiłowałam wyglądać na obojętną, ale kiepsko mi szło.

— Nie możemy tracić czasu. Wysłałam go na południe, gdy tylko dowiedziałem się, co jest grane. Jeśli nasi wrogowie zdecydują się zaatakować wcześniej, ktoś musi nas zawczasu ostrzec. Diego dołączy do nas, gdy wyjdziemy im na spotkanie.

Próbowałam sobie wyobrazić, gdzie jest teraz Diego. Chciałabym być z nim. Może udałoby mi się go przekonać, aby zostawił Rileya i nie ryzykował. A może nie. Wychodziło na to, że tych dwóch rzeczywiście jest ze sobą blisko, tak jak się obawiałam.

— Diego prosił, bym ci coś przekazał. Natychmiast podniosłam wzrok. Zbyt szybko i zbyt chętnie. Znów się sypnęłam.

— Dla mnie to nie miało sensu. Powiedział: „Powiedz Bree, że wymyśliłem już to tajne hasło. Podam je za cztery dni, kiedy się spotkamy”. Rozumiesz coś z tego?

Próbowałam zachować niewzruszoną minę.
— Niewiele. Wspomnił coś, że musimy wymyślić tajne hasło do jego podwodnej jaskini. Ale chyba tylko żartował. Nie całkiem rozumiem, o co chodzi.

Riley zachichotał.
— Biedny Diego.

— Co?

— Wygląda na to, że ten chłopak lubi cię dużo bardziej niż ty jego.

— Och. — Zażenowana odwróciłam wzrok. Czy Diego chciał mi przekazać tę wiadomość, by dać mi znać, że mogą ufać Rileyowi? Ale przecież nie powiedział mu tego, czego dowiedzieliśmy się o słońcu. Z drugiej strony ufał mu na tyle, by pokazać, że mu na mnie zależy. Pomyślałam, że może drzej jednak będzie trzymać głębiej na kłódkę. Zbyt wiele się ostatnio zmieniło.

— Nie skreślaj go, Bree. Diego jest najlepszy, mówię ci. Daj mu szansę.

Riley udzielał mi porad sercowych? Dziwnie już być nie mogło. Skinęłam głową i wymamrotałam:

— Jasne.

— Spróbuj, może uda ci się porozmawiać z Fredem. Upewnić się, że jest z nami.

Wzruszyłam ramionami.

— Zrobię, co się da.

Riley uśmiechnął się.

— Świetnie. Zanim wyruszymy, wezmę cię na bok i powiesz mi, jak poszło. Zrobię to dyskretnie, nie tak jak dzisiaj. Nie chcę, by Fred pomyślał, że go szpieguję.

— Jasne.

Riley gestem wskazał mi, bym szła za nim, i wróciliśmy do piwnicy.

Trening miał trwać cały dzień. Postanowiłam nie brać w nim udziału. Kiedy Riley wrócił do swoich przywódców, ja zajęłam miejsce koło Freda. Pozostali zostali podzieleni na cztery czteroosobowe grupy kierowane przez Raoula i Kristie. Żadne z nich nie wybrało Freda. Może po prostu ich zignorował albo w ogóle nie dostrzegł, że wciąż tam jest. Ale ja go widziałam, według mnie dość mocno się wyróżniał – jedyny, który nie uczestniczył w treningu, niczym wielki blond słoń w małej piwnicy.

Nie chciałam zapisywać się ani do grupy Raoula, ani do grupy Kristie, więc trzymałam się z boku. Zresztą po raz kolejny okazało się, że gdy siedzę z Fredem, jestem niedostrzegalna. Dzięki jego umiejętnościom czułam się w miarę bezpiecznie, ale najchętniej stałabym się niewidzialna nawet dla samej siebie, wtedy może bym uwierzyła, że mogę być spokojna. Tymczasem jednak nikt na nas nie patrzył i po chwili prawie udało mi się zrelaksować.

Uważnie przyglądałam się treningowi. Chciałam wszystko wiedzieć, na wszelki wypadek. Nie zamierzałam walczyć; zamierzałam znaleźć Diega i stąd zwać. Ale co, jeśli Diego będzie chciał walczyć? Albo jeśli będziemy musieli walczyć, żeby uciec od pozostałych? Lepiej było uważać.

Tylko raz ktoś spytał o Diega. Kevin, ale zdawało mi się, że to Raoul go podpuścił.

– I co, Diego w końcu się usmażył? – zapytał, udając żartobliwy ton.

– Diego jest z nią – odparł Riley i nikt nie musiał się domyslać, o kogo chodzi. – Obserwacja.

Kilka osób aż się wzdrygnęło, ale nikt już nie powiedział nic więcej.

Czy naprawdę był z nią? Dreszcz przeszedł mnie na samą myśl o tym. A może Riley powiedział tak, by przestali go wypytywać? Najprawdopodobniej nie chciał, żeby Raoula ogarnęły zdrość i poczucie odrzucenia teraz, kiedy Riley potrzebował go w bojowym nastroju. Nie byłam pewna, ale nie miałam też zamiaru o nic pytać. Siedziałam cicho jak zwykle i obserwowałam trening. Okazało się, że będą go oglądać do znużenia, coraz bardziej spragniona. Riley bowiem nie dał swojej armii odpocząć przez trzy dni i dwie noce. Niestety, w ciągu dnia trudno było trzymać się z dala od grupy, bo wszyscy cisnęliśmy się w piwnicy. Z jednego względu było to wygodniejsze dla Riley'a: w pomieszczeniu udawało mu się zwykle przerwać walkę, gdy stawała się nieczysta. Za to na zewnątrz wampiry miały zdecydowanie więcej miejsca, by tłuc się na całego, więc Riley nieustannie był zajęty łapaniem kolejnych oderwanych kończyn i odnoszeniem ich do prawowitych właścicieli. Trzymał nerwy na wodzy i tym razem był dość sprytny, by w porę odebrać wszystkim zapalniczki.

Pierwszego dnia ćwiczeń byłam gotowa się złożyć, że trening wyrukuje i się spod kontroli i stracimy przyjemniej kilku członków zgruchadzenia, skoro Raou i Kristie mieli spędzać ze sobą całe dnie i noce – ale Riley kontrolował ich lepiej, niż przypuszczałam.

Podczas treningu wciąż robili to samo. Zauważyłam że Riley powtarzał dokładnie te same rozkazy i ostrzeżenia, raz po raz.

Pracujcie razem, nie dajcie się zaszkodzić, nie wchodź z nią w bezpośrednie starcie; pracujcie razem, nie dajcie się zaszkodzić, nie wchodź z nią w bezpośrednie starcie. Nie dajcie się zaszkodzić, nie wchodź z nią w bezpośrednie starcie. To stawali się naprawdę bezsensowne i czyniło członków naszej grupy wyjątkowych idiotów. Ale pewnie i ja aczkolwiek walczyłam się równie głupio, gdybym miała walczyć z nimi, zamiast spokojnie przysłuchiwać się wszystkiemu z Bo-ku – wraz z Fredem.

Przypomniało to trochę spóźnionemu, w jaki Riley wzbudził w nas lęk przed słowem. Bizustarne powtarzania. Już pierwszego dnia trening stał się tak nudny, że po dłuższym czasie zaczął oglądać go Fred skłabinował karty i zaczął układać pasjansa. Nawet to było ciekawsze niż oglądanie raz po raz tych samych błędów, więc zaczęłam przysłuchiwać się Fredowi i jego kartom.

Po następnych dwunastu godzinach – gdy znów byliśmy w piwnicy – trąciłam Freda, by pokazać mu czerwoną piątkę, którą mógł przełożyć. Skinął głową i zrobił, co radziłam. Potem potasował karty, rozdał je do remika i zagrałszy. Nie rozmawialiśmy, ale Fred kilka razy się uśmiechnął. Nikt z pozostałych nie patrzył w naszą stronę ani nie próbował się dołączyć.

Nie było też przerw na polowania, a w miarę upływu czasu pragnienie stawało się coraz trudniejsze do opanowania. Bójki wybuchały coraz częściej i z coraz bliższych powodów. Rozkazy Riley'a stały się ostrzejsze; sam nawet oderwał ręce dwóm wampirom. Ze wszystkich sił próbowałam zapomnieć o palącym gardle – w końcu Riley też musiał być już spragniony, więc szkolenie powinno wreszcie się skończyć – ale i tak mogłam myśleć wyłącznie o krwi. Fred również wyglądał na spiętego.

Trzeciego wieczoru – został nam jeden dzień, a kiedy przypomniałam sobie, że zegar tyka, wlo- sy stawały mi dęba – Riley przerwał wszystkie treningowe walki.

– Stańcie wkoło, dzieciaki – powiedział i wszyscy ustawili się w półkolu, twarzą do niego.

Poprzednie układy nie zmieniły się w trakcie treningu i sojusze nie wygasły, więc widać było podział na grupy. Fred wstał i schował karty do

tylnej kieszeni. Trzymałam się wciąż u jego boku, licząc, że odstręczająca aura mnie ochroni.

— Dobrze się spisaliście — ciągnął Riley. — Dziś dostaniecie nagrodę. Napijcie się do syta, ponieważ jutro będziecie chcieli mieć dużo siły.

Z wszystkich ust dobyło się westchnienie ulgi.

— Nie bez powodu mówię, że będziecie „chcieli”, a nie „potrzebowali” — kontynuował. — Wy już i tak macie tę siłę. Zachowywaliście się rozsądnie i ciężko pracowaliście. Nasi wrogowie nawet nie zorientują się, kto ich zaatakował!

Kristie i Raoul warknęli, a ich popiecznicy natychmiast zrobili to samo. Zdziwiłam się, patrząc na nich, bo całe zgromadzenie w tamtej chwili rzezywiście wyglądało jak mała armia. Może nie marszerowali w szyku, ale ta jednogłośnie odpowiedź miała w sobie coś z wojskowej dyscypliny. Jakby byli częściami jednego wielkiego organizmu. Tylko ja i Fred stanowiliśmy wyjątek, ale miałam wrażenie, że w całym zgromadzeniu jedynie Riley pamięta o naszym istnieniu — co jakiś czas jego oczy przesuwały miejsce, w którym staliśmy, jakby Riley chciał sprawdzić, czy wciąż wyczuwa talent Freda. I nie przeszkadzało mu, że nie dołączamy do grupy. Przynajmniej na razie.

— Szefie, masz na myśli jutrzejszy wieczór? — spytał Raoul.

— Tak — odparł Riley z tajemniczym uśmiechem.

Chyba nikt nie zwrócił uwagi na ten uśmiech — z wyjątkiem Freda. Spojrzał na mnie i pytająco uniósł brew. Wzruszyłam ramionami.

— Jesteście gotowi na swoją nagrodę? — zapytał Riley.

Jego mała armia zawyla w odpowiedzi.

— Dzisiaj zobaczycie, jak będzie wyglądał nasz świat, gdy pozbedziemy się konkurencji. Chodźcie za mną!

Riley wyszedł z domu, a zaraz za nim podążyli Raoul i jego grupa. Zwolennicy Kristie zaczęli się przepychać i ze wszystkich sił próbowali ich wyprzedzić.

— Nie każcie mi zmieniać zdania! — wrzasnął Riley zza najbliższych drzew. — Możecie nawet oszaleć z pragnienia, nic mnie to nie obchodzi!

Kristie wydała rozkaz i jej poddani posłusznie przepuścili grupę Raoula. Fred i ja poczekaliśmy, aż wszyscy znikną nam z oczu. Wtedy Fred gestem pokazał mi, że mam biec przodem. I nie chodziło o to, że bał się mnie mieć za plecami; po prostu chciał być grzeczny. Pędem ruszyłam za pozostałymi.

Byli już daleko, ale z łatwością znalazłam ich trop. Fred i ja bieглиśmy razem, milcząc. Zastanawiałam się, co myśli. Może tylko był spragniony — pewnie gardło paliło go tak samo jak mnie.

Dogoniłszy resztę po jakichś pięciu minutach, ale zostaliśmy z tyłu. Wampirza armia poruszała się w zdumiewającej ciszy. Byli skoncentrowani,

a co więcej... zdyscyplinowani. Zaczęłam nawet żałować, że Riley wcześniej nie rozpoczął treningu. Zdecydowanie łatwiej byłoby polować z tak wytrenowanymi wampirami.

Przekroczyliśmy pustą dwupasmową autostradę, potem przebiegliśmy nieduży las i dotarliśmy do plaży. Powierzchnia wody była gładka, a że szliśmy cały czas na północ, musieliśmy dojść nad cieśninę. Nie mijaliśmy po drodze żadnych domów; byłam przekonana, że to nie przypadek. Byliśmy tak spragnieni i zdenerwowani, że niewiele brakowało, byśmy z malej, posłusznej armii zmienili się we wrzeszczącą, wygłodniałą horde.

Nigdy dotąd nie polowaliśmy tak liczną grupą i uważałam, że to bardzo zły pomysł. Pamiętałam, jak Kevin i jego blondasek walczyli o pasażerkę samochodu tamtej nocy, kiedy po raz pierwszy rozmawiałam z Diegiem. Lepiej, żeby Riley miał dla nas bardzo dużo ciał, bo inaczej wampiry zaczęły rozrywać siebie nawzajem, byle tylko zdobyć więcej krwi.

Riley zatrzymał się nad brzegiem oceanu.

– Nie powstrzymujcie się – powiedział. – Chcę, abyście byli mocni i syci, w pełni sił. A teraz... zabawmy się!

Zanurkował gładko, a inni, warcząc z podekscytowania, poszli w jego ślady. Fred i ja musieliśmy tym razem trzymać się bliżej grupy, bo pod wodą nie da się zwietrzyć tropu, ale czułam, że

mój „ochroniarz” się waha – był gotów wiać, gdyby okazało się, że czeka nas coś więcej niż wielka wyzerka. Chyba, podobnie jak ja, nie ufam już Rileyowi tak ślepo.

Nie płynęliśmy zbyt długo, niebawem zobaczyliśmy, że wszyscy zaczynają się wynurzać. Fred i ja jako ostatni wyszliśmy na brzeg. Riley zaczął mówić, gdy tylko zobaczył nasze głowy nad powierzchnią – wyglądało na to, że na nas czekał. Najprawdopodobniej lepiej niż inni potrafił wy czuć obecność Freda.

– Oto jest – rzekł, wskazując ręką ogromny prom kierujący się na południe, zapewne w ostatnim tego wieczoru rejście z Kanady. – Dajcie mi minutę. Kiedy zgaśnie prąd, cały statek należy do was!

Rozległ się radosny pomruk. Ktoś nawet zachichotał. Riley zniknął, a chwilę później zobaczyliśmy, jak ląduje na burcie wielkiego statku. Ruszył prosto do stacji energetycznej, mieszczącej się w wieży na górnym pokładzie. Najpierw musiał wyłączyć radio. Oczywiście, powtarzał nam, że należy zachować ostrożność z powodu naszych wrogów, ale wiedziałam, że chodzi o coś więcej. Pasażerowie i załoga nie mogli się dowiedzieć o wampirach – przynajmniej nie w najbliższym czasie. Tak długo, abyśmy mieli czas ich zabić.

Riley kopnięciem rozwalil wielkie okno z grubego szkła i zniknął w wieży. Pięć sekund później zgasły wszystkie światła. Zauważyłam, że nie ma

z nami Raoula. Widocznie zanurzył się wcześniej, abyśmy nie usłyszeli, jak płynie za Rileyem. Wszyscy razem popłynęliśmy teraz za nimi, a woda zagotowała się, jakby kłębiła się w niej lawica wielkich barakud.

Fred i ja płynęliśmy spokojniej niż inni. Czulałam się trochę dziwnie, jakbyśmy byli starym małżeństwem. Nie rozmawialiśmy ze sobą, ale robiliśmy te same rzeczy dokładnie w tym samym momencie. Dotarliśmy do promu jakiś trzy sekundy po pozostałych, a w powietrzu już unosił się jazgot i czuć było zapach ciepłej krwi. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo jestem spragniona, i to ostatnia rzecz, którą zarejestrował mój umysł, zanim całkowicie się wyłączył. Odczuwałam już tylko palący ból w gardle i aromat pysznej krwi, której było tu pełno, a która miała ten ogień ugasić.

Gdy już było po wszystkim i na promie nie pozostało ani jedno bijące serce, nie wiedziałam nawet, ilu ludzi sama zabiłam. Było ich przynajmniej trzy razy więcej niż podczas wszystkich moich wypraw na polowanie. Z przejęcia niemal dostałam wylewów. Piłam bowiem jeszcze długo po tym, jak żar w gardle zelżał – piłam dla samej przyjemności rozkoszowania się smakiem krwi. U większości ofiar była ona czysta i smakowita – pasażerowie z pewnością nie zaliczali się do społecznych wyrzutków. Nie hamowałam się, ale

i tak miałam chyba najmniej zdobyczy ze wszystkich. Raoul stał przy stosie tyłu ciał, że tworzyły wręcz niewielką górę. Usiadł na jej szczycie i śmiał się głośno. Nie tylko on zresztą. Zewsząd dobiegały dźwięki wydawane przez zadowolone wampiry. Słyszałam, jak Kristie mówi:

– To było cudowne! Na cześć Riley'a hip, hip, hurra!

Niektórzy z jej bandy wzniesli od razu gorliwe okrzyki niczym horda szczęśliwych pijaczków.

Jen i Kevin wpadli na pokład widokowy, cali ociekający wodą.

– Wylapaliśmy wszystkich, szefie! – zawołała Jen do Riley'a.

Widocznie niektórzy pasażerowie skoczyli do wody, by się ratować.

Rozejrzałam się, szukając Freda. Znalazłam go dopiero po chwili (kiedy zdałam sobie sprawę, że nie potrafię spojrzeć wprost na tylną część promu, gdzie stały automaty z napojami) i od razu skierowałam się w jego stronę. Na początku zdawało mi się, że to kolyśanie promu przyprawia mnie o mdłości, ale gdy podeszłam do automatów, nieprzyjemne uczucie zelżało i dostrzegłam stojącego przy oknie Freda. Uśmiechnął się do mnie przelotnie, a potem spojrzął mi przez ramię. Zrozumiałam, że obserwuje Riley'a. I chyba robił to już od jakiegoś czasu.

— Dobra — odezwał się Riley. — Posmakowaliście nowego, słodkiego życia, ale teraz jest zadanie do wykonania!

Wszyscy zaryczeli z entuzjazmem.

— Mam wam do powiedzenia trzy rzeczy, a z jedną z nich wiąże się jeszcze coś na deser, więc szybko zatopmy tę lajbę i wracajmy do domu.

Na zmianę śmiejąc się i warcząc, wampirza armia zaczęła rozwalać prom. Fred i ja obserwowaliśmy tę demolkę z pewnej odległości. Niewiele było trzeba, by statek przełamał się na pół z wielkim zgrzytem pękającego metalu. Najpierw zatonała jego środkowa część; zarówno dziób, jak i rufa obróciły się w stronę nieba. Tonęły po kolei, w pierw rufa, a kilka sekund później dziób. Ławica barakud ruszyła w naszym kierunku i razem zaczęliśmy płynąć do brzegu.

Dobiegliśmy do domu niemal jednocześnie z pozostałymi, choć w bezpiecznej od nich odległości. Po drodze Fred kilkakrotnie spojrzął na mnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale najwidoczniej za każdym razem zmieniał zdanie, gdyż nie odezwał się ani słowem.

Po powrocie Riley musiał opanować święteczny nastrój i sprawić, by wszyscy w końcu spowzniali. Po raz pierwszy nie trzeba było przerywać walki, lecz tonowało zbyt dobry humor. Jeśli — jak mi się zdawało — obietnice Rileya były fałszywe, to narażał się na spore kłopoty. Teraz, kiedy po-

zwoliło się wampirom ucztować, żaden z nich nie miał zamiaru zbyt łatwo poddać się jakimkolwiek ograniczeniom. Ale tamtego wieczoru Riley był jeszcze bohaterem.

W końcu — chwilę po wschodzie słońca — wszyscy ucichli, gotowi go wysłuchać. Sądząc z wyrazu ich twarzy, byli skłonni zgodzić się ze wszystkim, co usłyszeli. Riley stanął w połowie schodów z bardzo poważną miną.

— A więc trzy sprawy — zaczął. — Po pierwsze, musimy być pewni, że atakujemy właściwe zgromadzenie. Jeśli przypadkiem natknemy się na inny klan i go załatwimy, zaszkodzi to naszemu planom. Chcemy, by nasi wrogowie byli pewni siebie i nieprzygotowani do walki. Są dwie cechy, które odróżniają to zgromadzenie od innych, i trudno je przeoczyć. Po pierwsze, wyglądają inaczej — mają żółte oczy.

Wokół rozległ się pomruk zdziwienia.

— Żółte? — powtórzył z obrzydzeniem Raoul.

— W świecie wampirów istnieje wiele spraw, o których jeszcze nie wiecie. Mówiłem wam, że tamte wampiry są starsze. Ich oczy są słabsze od naszych i poóółkłe ze starości. To kolejny plus dla nas. — Kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: „Jedno z głowy”. — Ale istnieje także inne stare wampiry, więc będziemy musieli upewnić się, że atakujemy celnie... I tu właśnie czas na deser. — Riley uśmiechnął się podstępnie i odczekał chwilę.

— Będzie wam ciężko to pojąć — ostrzegł. — Sam tego nie rozumiem, ale widziałem to na własne oczy. Te stare wampiry są tak słabe, że trzymają ze sobą — jako członek zgromadzenia — udomowionego człowieka.

Rewelacje Riley'a zostały przyjęte w absolutnej ciszy. I z zupełnym niedowierzaniem.

— Wiem, wiem — trudno w to uwierzyć. Ale taka jest prawda. Będziemy pewni, że to właściwe zgromadzenie, jeśli będzie wśród nich ludzka dziewczyna.

— No, ale... jak to? — spytała Kristie. — Chcesz powiedzieć, że oni wożą ze sobą jedzenie, czy co?

— Nie, to zawsze ta sama dziewczyna, której wcale nie chcą zabijać. Nie wiem, jak im się udało przed tym powstrzymać i czemu w ogóle tak się zachowują. Może po prostu lubią się wyróżniać. Może chcą popisać się, jak wielką mają nad sobą kontrolę. A może sądzą, że dzięki niej wydadzą się silniejsi. Dla mnie to zupełnie bez sensu. Ale widziałem ją, a co więcej, znam jej zapach.

Powolnym i dramatycznym gestem Riley sięgnął pod kurtkę i wyciągnął zamykaną plastikową torebkę z wciśniętym do środka kawałkiem czernego materiału.

— Przez ostatnie tygodnie robiłem małe rozpoznanie i obserwowałem złotookich, gdy tylko pojawili się w pobliżu. — Urwał, by rzucić nam karcące spojrzenie. — Pilnowałem swoich dzie-

ciaków. Kiedy już upewnilem się, że chcą nas zaatakować, ukradłem to — pokazał torebkę — by łatwiej nam było ich namierzyć. Chcę, abyście wszyscy nauczyli się tego zapachu. — Podał woreczek Raoulowi, który otworzył go i wziął głęboki wdech. Po chwili pytająco zerknął na Riley'a, wyraźnie zdziwiony.

— Wiem, wiem — odpowiedział Riley. — Niezwykłe, prawda?

Raoul podał torebkę Kevinowi, mrużąc oczy w zamyśleniu.

Jeden po drugim, wszystkie wampiry wachały zawartość torebki i wszystkie reagowały tak samo: otwierały szeroko oczy, ale nic nie mówiły. Zaintrygowały mnie, więc odsunęłam się od Fre-
da tak bardzo, aż poczułam przyływ mdłości — wyraźnie wyszłam poza ochronny krąg. Przyczół-
gałam się do blondasa od Spider-Mana, który najwyraźniej był ostatni w kolejce. Gdy nadeszła jego kolej, wsadził nos do torebki i wciągnął zapach. Potem chciał oddać ją poprzedniemu wampirovi, ale wyciągnęłam dłoń i cicho syknęłam. Zareagował z opóźnieniem, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu, ale podał mi woreczek.

Wyglądało na to, że czerwony materiał to zwinięta bluza. Wsadziłam nos w woreczek, na wszelki wypadek nie spuszczać z oczu wampirów stojących najbliżej, i wciągnęłam powietrze.

No tak. Już teraz zrozumiałam, o co chodziło, i na mojej twarzy pojawił się taki sam wyraz. W żyłach dziewczyny, która nosiła tę bluzkę, płynęła bardzo słodka krew. Gdy Riley mówił „deser”, miał świętą rację. Ale z drugiej strony byłam w tamtej chwili tak pełna, że choć otworzyłam szeroko oczy z zaskoczenia, nie poczułam w gardle takiego bólu, by się skrzywić. Byłoby cudownie móc się napić takiej krwi, ale nie cierpiałam zbyt mocno, że teraz nie mogę tego zrobić. Zastanawiałam się, ile czasu minie, zanim znów poczuję pragnienie. Zazwyczaj palący ból powracał już kilka godzin po zaspokojeniu pragnienia, a potem nasilał się i nasilał, aż po kilku dniach nie można było o nim zapomnieć nawet na sekundę. Czy ogromny zapas krwi, którą wypiliam na statku, opóźni pojawienie się tego uczucia? Wkrótce miałam się przekonać.

Rozejrzałam się dokoła, sprawdzając, czy ktoś jeszcze chce powąchać torebkę, pomyślałam bowiem, że może Fred też byłby ciekawy. Riley złapał moje spojrzenie, uśmiechnął się nieznacznie i delikatnym ruchem brody wskazał mi kąś, w którym siedział Fred. To oczywiście sprawiło, że miałam ochotę zrezygnować ze swojego zamiaru, ale dałam sobie spokój. Nie chciałam, by Riley zaczął mnie podejrzewać.

Podeszłam do Freda, ignorując nadchodzące mdłości, które zniknęły, gdy stanęłam obok niego.

Podalam mu torebkę. Był chyba zadowolony, że o nim pamiętałam. Uśmiechnął się i powąchał kosiszulkę. Po chwili z zamysleniem pokiwiał głową. Oddał mi torebkę, patrząc znacząco. Miałam nadzieję, że może następnym razem, gdy będziemy sami, powie mi głośno, co sobie pomyślał.

Rzuciłam woreczek blondaskowi od Raoula, który drgnął, jakby coś zniecnacka spadło na niego z nieba, ale zdążył złapać torebkę. Wszyscy podniecali się słodkim zapachem, aż Riley dwukrotnie klasnął w dłonie.

– Dobra, to jest deser, o którym mówiłem. Dziewczyna będzie tam z żółtookimi. A ten, kto dorwie ją pierwszy, dostanie deser. Nic prostszego.

Rozległy się warknięcia aprobaty oraz wyższości. Nic prostszego? Niby tak, ale... coś tu nie grało. Czy nie powinniśmy wszyscy razem najpierw zniszczyć zgromadzenia żółtookich? Mieliśmy być jednością, a nie stawać do wyścigu: kto pierwszy, ten lepszy. Jedyną gwarantowaną zdobyczą całej wyprawy miała się okazać martwa ludzka dziewczyna? Sama potrafiłabym wymyślić kilka bardziej sensownych sposobów, by zmotywować naszą armię. Ten, kto zabije najwięcej żółtookich, dostanie dziewczynę. Ten, kto będzie najlepiej współpracował z pozostałymi, dostanie dziewczynę. Ten, kto najciszej będzie się trzymał planu. Ten, kto najlepiej będzie wykonywał rozkazy. Ten, kto okaże się najbardziej wartościowym

wym napastnikiem w całej bitwie. Powinniśmy skupiać się na zagrożeniu, a dziewczyna z pewnością nim nie była.

Rozejrzałam się wokół i zdałam sobie sprawę, że nikt z pozostałych nie myśli tak jak ja. Raoul i Kristie gapili się na siebie. Słyszałam, jak Sara i Jen szeptały dyskutują, czy mogłyby podzielić nagrodę między sobą. Chyba tylko Fred mnie rozumiał – widziałam, że marszczy czoło, zastanawiając się nad czymś głęboko.

– I jeszcze jedno – ciągnął Riley. Pierwszy raz usłyszałam w jego głosie wahanie. – Będzie wam trudno uwierzyć, więc pokażę wam to na własnym przykładzie. I nie poproszę, żebyście robili cokolwiek, czego ja bym nie zrobił. Pamiętajcie, że cały czas będę z wami.

Wampiry znów zamary w oczekiwaniu. Zauważyłam, że torebkę z czerwoną bluzką ma Raoul i zaboreczko ścisną ją w dłoniach.

– Jest tak wiele rzeczy, których musicie dowiedzieć się o wampirach – kontynuował Riley. – Niektóre są łatwiejsze do zrozumienia niż inne. To, co powiem, na początku wyda wam się dziwne, ale sam tego doświadczyłem i mogę wam pokazać. – Wahał się przez dłuższą chwilę. – Cztery razy do roku słońce oświetla ziemię pod specyficznym kątem, niebezpiecznie. Podczas tych dni, cztery razy w roku, możemy... możemy przebywać na zewnątrz.

Wszyscy wstrzymali oddech i zamarli w bezruchu. Riley przemawiał do armii posągów.

– Zaczyna się właśnie jeden z takich dni. Słońce, które dzisiaj wschodzi, nie zrobi nam żadnej krzywdy. Wykorzystamy to rzadkie zjawisko, aby zaskoczyć naszych wrogów.

W mojej głowie kłębiły się dziesiątki myśli. A więc Riley wiedział, że możemy bezpiecznie przebywać w słońcu. Albo nie wiedział, a nasza stwórczyni opowiedziała mu tę bajeczkę o czterech dniach w roku. Albo... bajka nie była bajką, a Diego i ja mieliśmy szczęście trafić na taki właśnie dzień. Tyle że Diego już wcześniej wychodził na światło dzienne. Zresztą Riley mówił, że to tylko krótkie, okresowe przesilenia, a my chodziliśmy swobodnie zaledwie cztery dni temu. Rzecz jasna, rozumiałam, że Riley i ona chcieli nas trzymać w ryżach, strasząc słońcem, to miało sens. Tylko dlaczego nagle zdecydowali się wyjawiać nam prawdę – nawet jeśli niepełną?

Byłam pewna, że ma to coś wspólnego z wampirami w ciemnych pelerynach. Ona musiała zapewne zmieścić się w wyznaczonym przez nich terminie. Tajemniczy goście przecież wcale nie obiecali jej, że przeżyje, kiedy my zabijemy żółtokoch. Domyślałam się, że gdy tylko załatwimy z nią sprawę bitwy, nasza stwórczyni rozplynie się w powietrzu. Zniszczymy wrogi klan, a ona pojedzie na wakacje, dokądkolwiek, byle jak najda-

lej stać. I mogłam się założyć, że nie wysłałam ozdóbnie wypisanych zaproszeń. Wiedziałam, że muszę szybko znaleźć Diega, abyśmy także mogli uciec, ale w drugą stronę. No i musiałam dać cynk Fredowi. Postanowiłam, że zrobię to, gdy tylko zostaniemy na chwilę sami.

W jednej krótkiej przemowie Rileya było tak wiele manipulacji, że nie miałam pewności, czy wszystko wylapałam. Żałowałam, że nie ma ze mną Diega – razem moglibyśmy lepiej odgadnąć ukryty sens jego słów. Jeśli Riley wymyślił tę historię o czterech wyjątkowych dniach, chyba rozumiałam, dlaczego to zrobił. Nie mógł przecież tak po prostu powiedzieć: „Hej, wiecie co? Okłamywałam was od samego początku waszego nowego życia, ale teraz mówię prawdę”. Chciał, byśmy łąka chwila poszli z nim na wojnę, nie mógł więc sobie pozwolić na utratę naszego zaufania.

– Macie prawo bać się tej myśli – mówił dalej Riley do posagów. – Życie tylko dlatego, że posłuchaliście mnie, gdy kazałam wam zachować ostrożność. Wracaliście do domu na czas i nie popelnialiście błędów. Ze strachu staliście się mądrzy i czujni. Nie oczekuję, że tak po prostu porzucicie ten strach, który tyle razy was ocalił. Nie oczekuję, że na moje słowo tak po prostu wybiegniecie na zewnątrz. Ale... – Rozejrzył się po piwnicy. – Oczekuję, że wyjdziecie za mną.

Zdawało mi się, że na ułamek sekundy zatrzymał spojrzenie nad moją głową.

– Obserwujcie mnie – powiedział. – Słuchajcie mnie i zauważcie mi. A kiedy zobaczycie, że nic mi się nie stało, uwierzcie w to. Słońce wywoła dzisiaj pewien interesujący efekt na waszej skórze. Zobaczycie jaki. W żaden sposób was jednak nie zrani. Nie zrobiłbym niczego, co mogłoby was narazić na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Wiecie o tym.

Ruszył po schodach na górę.

– Riley, a czy nie możemy poczekać... – zaczęła Kristie.

– Po prostu patrz – przerwał jej Riley, nie zatrzymując się. – To daje nam dużą przewagę. Żółtoocy wiedzą o dzisiejszym dniu, ale nie wiedzą, że my wiemy. – Mówiąc to, otworzył drzwi i wyszedł z piwnicy do kuchni. W dobrze zaimponowanym pomieszczeniu nie było światła, ale i tak wszyscy odsunęli się od otwartych drzwi. Wszyscy oprócz mnie. Riley nie przestawał mówić, idąc w stronę frontowych drzwi. – Wszystkie młode wampiry potrzebują trochę czasu, by zaakceptować tę wyjątkową wiedzę. I bardzo dobrze. Ci, którzy nie są ostrożni w świetle dnia, nie przetrwają długo.

Czułam na sobie spojrzenie Freda. Zerknęłam na niego. Wpatrywał się we mnie, jakby chciał uciec, ale nie miał dokąd.

– W porządku – wyszeptalam prawie niedosłyszalnie. – Słońce nie zrobi nam krzywdy.

„Ufasz mu?” – zapytał bezgłośnie.
„Ależ skąd!”.

Fred uniósł brew i odrobinę się rozluźnił. Spojrzałam na ścianę za jego plecami. Czego szukał tam Riley? Nic się nie zmieniło – wisiały tam jakieś rodzinne zdjęcia niezujących właścicieli domu, małe lusterko i zegar z kukułką. Hm. Może sprawdzał godzinę? Może i jemu ona wyznaczyła ostateczny termin?

– Dobrze, kochani, ja wychodzę – rzucił Riley.
– Przysięgam, że dzisiaj nie macie się czego bać.

Przez otwarte drzwi do piwnicy wpadło nagle światło, wzmocnione – co wiedziałam tylko ja – odbiciem skóry Rileya. Widziałam, jak jasne odbłaski tańczą na ścianach. Sycząc i warcząc, całe zgromadzenie wycofało się w kącie piwnicy, przewleczło się pod ścianą – widocznie chciała wykorzystać swoją bandę jako tarczę.

– Uspokójcie się! – zawołał Riley. – Nic mi nie jest. Żadnego bólu czy poparzeń. Chodźcie i zobaczcie! No, dalej!

Nikt nie zbliżył się do drzwi. Fred skulił się pod ścianą obok mnie, w panice patrząc na ostre światło. Machnęłam ręką, by zwrócić na siebie jego uwagę. Podniósł wzrok i przez chwilę zastanawiał się, czemu jestem taka spokojna. Powoli się

wyprostował i stanął obok mnie. Uśmiechnęłam się zachęcająco. Wszyscy pozostali czekali, aż zaczniesz się pożar. Ciekawe, czy zdaniem Diega w jaskini też wyglądałam tak głupio jak oni teraz.

– Wiecie co? – zawołał z góry Riley. – Jestem ciekaw, kto z was okaże się najważniejszy! Wydaje mi się, że wiem, kto pierwszy przejdzie przez te drzwi, ale już raz się pomyliłem.

Wzniosłam spojrzenie do nieba. Bardzo subtelnie, Riley, doprawdy.

Ale oczywiście zadziało. Raoul natychmiast zaczął podchodzić do schodów. Po raz pierwszy Kristie wcale nie śpieszyła się, by konkurować z nim o sympatię Rileya. Raoul pstryknął palcami na Keviną i zarówno on, jak i blondasek niechętnie ruszyli za nim.

– Słyszycie mój głos. Wiecie, że się nie spaliłem. Prześcieście zachowywać się jak dzieci! Jesteście wampirem! Więc zachowujcie się, jak trzeba.

A jednak Raoul i jego kumple nie doszli dalej niż do podnóża schodów. Nikt z pozostałych się nie ruszył. Po kilku minutach Riley wrócił do piwnicy. W świetle dochodzącym z góry wciąż jeszcze łśnił.

– Spójrzcie na mnie! Nic mi nie jest. Naprawdę! Wstyd mi za was. Chodź tu, Raoul!

Ale Raoul umknął, gdy tylko zobaczył, co się święci. W końcu Riley musiał złapać Keviną i siłą zaciągnął go na górę. Zauważyłam ten moment,

gdy razem wyszli na słońce, ponieważ blask w piwnicy stał się jeszcze bardziej intensywny.

– Powiedz im, Kevin – nakazał Riley.

– Jestem cały, Raoul! – zawołał Kevin. – Ale numer. Cały się... świecę! Ale wariatwo! – Zasiął się.

– Dobra robota, Kevin – głośno pochwalił Riley.

Raoulowi więcej nie było trzeba. Nie śpieszył się, ale chwilę później był na górze, błyszcząc i zaśmiewając się razem z Kevinem. Jednak nawet teraz pozostali ociągali się z wyjściem na górę. Tylko nieliczni się zdecydowali, a Riley tracił cierpliwość. Bardziej groził, niż zachęcał.

Fred rzucił mi pytające spojrzenie: „Wiedziałaś?”. „Tak” – odparłam bezgłośnie.

Kiwnął głową i ruszył po schodach. Pod ścianą zostało jeszcze jakieś dziesięć wampirów, głównie z grupy Kristie. Poszłam za Fredem – najbezpieczniej było wyjść w środku stawki. Niech Riley myśli sobie, co chce.

Na podwórku ujrzeliśmy błyszczące niczym dyskotekowe kule wampiry, które wpatrywały się w swoje ręce i twarze pozostałych z bezgranicznym zdumieniem. Fred bez z万国 wyszedł na słońce, co – biorąc pod uwagę sytuację – było dosyć odważne. Za to Kristie była doskonałym przykładem tego, jak dobrze wyszkolił nas Riley. Trzymała się tego, co знаła, bez względu na najbardziej przekonujące dowody.

Fred i ja stanęliśmy w pewnym oddaleniu od reszty. Chłopak przyjrzał się sobie uważnie, potem spojrzal na mnie, a później na pozostałych. Uderzyło mnie, że choć był tak milczący, miał rozwinięty zmysł obserwacji i ze skupieniem naukowca badał wszelkie szczegóły. Przez cały ten czas oceniał słowa i działania Riley'a. Ciekawe, co wydedukował?

Riley siłą musiał zaciągnąć Kristie na górę i wreszcie jej grupa także się ruszyła. Wszyscy znaleźliśmy się na słońcu i większość wyraźnie cieszyła się tym, jak pięknie wyglądamy. Riley zarządził zbiórki i jeszcze jeden krótki trening, zapewne po to, by wszyscy lepiej się skoncentrowali. Trochę to trwało, ale w końcu każdy zorientował się, że nadszedł decydujący moment, i zgromadzenie ucichło, by wzbudzić w sobie agresję. Widziałam, że już sama idea prawdziwej walki, tego, że nie tylko pozwalano im zabijać i palić, ale nawet do tego zachęcano, była niemalże tak podniecająca jak samo polowanie. Działo to na wampiry takie jak Raoul, Jen czy Sara.

Riley skoncentrował się na strategii, której próbował nas nauczyć od kilku dni. Zakładała ona, że gdy tylko uda nam się znaleźć żółtokoch, podzielimy się na dwie grupy i ich otoczymy. Raoul dostał polecenie atakowania z przodu, a Kristie – z flanki. Ten plan odpowiadał im obojgu, choć nie byłam pewna, czy w wirze polowania uda im się działać zgodnie z ustaleniami. Kiedy Riley po godzinie tre-

ningu zwołał wszystkich do siebie, Fred natychmiast ruszył w drugą stronę, na północ. Pozostali stali twarzami do Rileya, zwróceniu w kierunku południowym. Trzymałam się blisko Freda, chociaż nie miałam pojęcia, co wyrabia. Zatrzymał się po jakichś stu metrach, w cieniu świerków rosnących na brzegu lasu. Nikt nie patrzył, gdy odchodziliśmy. A Fred cały czas spoglądał na Rileya, jakby sprawdzał, czy zauważy nasz odwrót. Tymczasem Riley zaczął mówić do zgromadzonych:

— Wyruszamy. Jesteście silni i gotowi. I spragnieni, prawda? Czujecie żar w gardłach. Jesteście gotowi na deser.

Miał rację. Krew wypita na statku nie zagłuszyła pragnienia, które wracało chyba nawet szybciej i było bardziej intensywne niż poprzednio. Najwiedoczniej nadmiar krwi przynosił skutki odwrotne do oczekiwanych.

— Żółtoocy zbliżają się powoli od południa, a po drodze gaszą pragnienie, by wzmocnić siły — ciągnął Riley. — Ona cały czas ich obserwuje, dlatego wiem, gdzie ich znaleźć. Spotkają się tam z nami on a i Diego. — Rzucił znaczące spojrzenie w miejscę, gdzie przed chwilą stałam, i ledwie zauważalnie zmarszczył brwi. — Uderzymy w nich niczym tsunami! Z łatwością ich zwyciężymy, a potem będziemy świętować. — Uśmiechnął się. — A jedno z was będzie świętować podwójnie. Raoul, oddaj mi to. — Riley zdecydowanie wyciągnął dłoń.

Raoul z niechęcią rzucił mu torebkę z czerwona koszulka. Pomyślałam, że próbował przywłaszczyć sobie dziewczynę, zabierając jej zapach.

— Jeszcze raz powąchajcie po kolei. Skupcie się! Na dziewczynie? Czy na bitwie?

Tym razem Riley osobiście podawał wszystkim torebkę do powąchania, jakby chciał się upewnić, że całe zgromadzenie będzie spragnione. Sądząc po ich reakcji, paliło ich w gardle coraz bardziej, tak jak mnie. Ludzki zapach wywoływał warknięcia i wycie. Riley nie musiał tego robić — i tak wszystko pamiętaliśmy. Widocznie chciał nas przetestować. Sama myśl o zapachu człowieka sprawiła, że jad napłynął mi do ust.

— Jesteście ze mną?! — wrzasnął Riley.

Wszyscy krzyknęli twierdząco.

— To załatwmy ich, dzieciaki!

I znów stado drapieżników ruszyło na łowy — tym razem na łądzie.

Fred ani drgnął, zostałam więc przy nim, choć czułam, że marnuję cenny czas. Skoro miałam złapać Diega i odciągnąć go, zanim zacznie się bitwa, powinnam być z przodu całej grupy. Spotykałam na nich zdenerwowana. Wciąż byłam prawie najmłodsza, a więc i szybsza.

— Przynajmniej przez dwadzieścia minut Riley nie będzie mógł nawet o mnie pomyśleć — odezwał się Fred głosem tak zwyczajnym, jakbyśmy codziennie odbywali setki takich rozmów. — Kontro-

luję czas. Nawet w sporej odległości poczuje mdłości na samą myśl o mnie.

— Serio? To super.

Uśmiechnął się.

— Ćwiczę od jakiegoś czasu, sprawdzam swoją moc. Potrafię już zrobić się niewidzialny. Nikt mnie nie zobaczy, jeśli nie będę tego chciał.

— Zauważyłam — rzekłam, a po chwili spytałam: — Nie idziesz z nami?

Fred pokręcił głową.

— Jasne, że nie. Riley przecież nie powiedział nam najważniejszych rzeczy. Nie mam zamiaru być jego pionkiem.

A więc zrozumiał wszystko.

— Mogłem zwiąć wcześniej, ale przedtem chciałem jeszcze z tobą porozmawiać, a dopiero teraz nadarzyła się okazja.

— Ja też chciałam z tobą pogadać — przyznałam. — Uznałam, że powinieneś wiedzieć, iż Riley okłamuje nas w sprawie słońca. Ta historia o czterech specjalnych dniach to kompletna bzdura. Wydaje mi się, że Shelly, Steve i kilku innych też się tego domyślili. A jeśli chodzi o tę walkę, to sprawa jest dużo poważniejsza. Mamy więcej wrogów niż tylko tamto zgromadzenie — mówiłam szybko, boleśnie odczuwając, jak szybko mija czas, i patrząc na przesuwaną się słońce. Musiałam znaleźć Diega.

— Nie dziwię się — spokojnie odparł Fred. — Dlatego znikam. Pragnę sam odkrywać świat. To znaczy zamierzałem iść sam, ale pomyślałem, że może chciałabyś do mnie dołączyć. Byłabyś bezpieczna. Nikt za nami nie pójdzie.

Przez chwilę się wahałam. Akurat w tym momencie perspektywa bezpieczeństwa i spokoju była bardzo kusząca.

— Muszę znaleźć Diega — powiedziałam, kręcąc głową.

Fred skinął głową w zamyśleniu.

— Jasne, rozumiem. Wiesz, jeśli jesteś gotowa za niego zaręczyć, możemy go wziąć ze sobą. Czasem im więcej nas, tym lepiej.

— To prawda — zgodziłam się szybko, gdyż przypomniałam sobie, jak bezbronna czułam się wtedy na drzewie z Diegiem, gdy zbliżały się do nas wampiry w pelerynach.

Fred pytająco uniósł brew, słysząc mój ton.

— Riley kłamie w przynajmniej jeszcze jednej sprawie — wyjaśniłam. — Bądź ostrożny. Ludzie nie powinni się o nas dowiedzieć. Istnieją bowiem jakieś szurnięte wampiry, które niszczą zgromadzenia, kiedy te stają się zbyt widoczne. Widziałam ich i uwierz, nie chciałbyś mieć z nimi do czynienia. W ciągu dnia trzymaj się z boku i poluj rozsądnie. — Nerwowo spojrzałam na południe. — Muszę się pośpieszyć!

Fred z namyślem rozważał to, co powiedziałam.

– Rozumiem. Jeśli zechcesz, dołącz potem do mnie. Z chęcią wysłucham wszystkiego, co wiesz. Poczekam na ciebie w Vancouver, przez jeden dzień. Dobrze znam miasto. Zostawię ci trop w... – zawa-
hał się, a potem zachichotał i dokończył: – ... w par-
ku Riley. Doprowadzi cię do mnie. Ale po dwudzie-
stu czterech godzinach już mnie tam nie będzie.

– Znajdę Diega i dogonimy cię.

– Powodzenia, Bree.

– Dzięki, Fred! I powodzenia. Do zobaczenia!
– Zaczęłam biec.

– Mam nadzieję – usłyszałam jeszcze.

Pędem ruszyłam śladem zgromadzenia, biegnąc szybciej niż kiedykolwiek. Na szczęście za-
trzymali się na chwilę – pewnie Riley musiał na-
nich nawrzeszczeć – więc udało mi się dogonić
grupę wcześniej, niż przypuszczałam. A może Ri-
ley przypomniał sobie o Fredzie i stanął, by nas
poszukać? Biegli równym krokiem, kiedy dołą-
czyłam, starając się sprawiać wrażenie umiarko-
wanie zaangażowanej – jak poprzedniej nocy.
Próbowałam wślizgnąć się między pozostałych
bez zwracania na siebie uwagi, ale Riley odwrócił
się i zerknął na ociągających się maruderów. Do-
strzegł mnie, a potem zaczął biec szybciej. Czy
uznał, że Fred jest ze mną? Riley miał już nigdy
więcej nie zobaczyć Freda...

Pięć minut później sprawy wymknęły się spod kontroli.

To Raoul złapał trop. Wyrwał naprzód z dzi-
kim wrzaskiem. Riley tak nas nakreślił, że wystar-
czyła drobna iskra, by spowodować eksplozję.
Ci, którzy biegli blisko Raoula, również wyczuli
zapach, a po chwili rozpoczęło się szaleństwo.
Chęć zdobycia ludzkiej dziewczyny wzięła górę
nad rozkazami Riley. Teraz byliśmy myśliwymi,
a nie armią. Zapomnieliśmy o jedności, liczył się
tylko wyścig po jej krew.

Choć wiedziałam, że opowieść Riley'a zawie-
rała wiele kłamstw, nie potrafiłam oprzeć się za-
pachowi. Nawet biegnąc z tyłu grupy, wyczułam
go od razu. Był świeży i intensywny. Dziewczy-
na musiała niedawno tu przebywać, a pachniała
naprawdę słodko. Dzięki krwi wypitej ubiegłej
nocy byłam silna, ale nie miało to znaczenia.
Chciało mi się pić. W gardle paliło. Ruszyłam za
resztą, próbując się skoncentrować. Ze wszyst-
kich sił starałam się zostać nieco z tyłu. Najbli-
żej mnie był... Riley. Czyżby on też chciał się
powstrzymać od polowania na dziewczynę?
Wciąż wykrzykiwał rozkazy, powtarzając właści-
wie to samo.

– Kristie, idź dookoła! Przesuń się! Rozdzielcie
się! Kristie, Jen! Rozdzielcie się! – Cały plan
atakowania z dwóch stron walił się na naszych
oczach.

Riley doskoczył do głównej grupy biegnących i złapał Sarę za ramię. Pociągnął ją w lewo, aż warknęła ze złością.

— Idź naokoło! — wrzasnął.

Potem chwycił blondaska, którego imienia nigdy nie poznałam, i popchnął go na Sarę, co jej się wyraźnie nie spodobało. Kristie otrząsnęła się z amoku, zdając sobie sprawę, że powinna działać zgodnie ze strategią. Rzuciła gniewne spojrzenie na Raoula i zaczęła wrzeszczeć na swoją ekipę:

— Tędy! Szybciej! Rozwalimy ich i pierwsi ją dorwiemy. Dalej!

— Pójdę na szpicę z Raulem! — krzyknął Riley, zwracając.

Wciąż biegłam przed siebie, choć zawahałam się. Nie chciałam iść na szpicę, ale członkowie ekipy Kristie zaczęli zwracać się przeciwko sobie. Sara uwięzła w kleszczach blondaska. Dźwięk jego odrywanej głowy pomógł mi podjąć decyzję. Rzuciłam się w pościg za Rileym, zastanawiając się, czy Sara zatrzyma się na chwilę, aby spalić chłopca, który lubił udawać Spider-Mana.

Zbliżyłam się na tyle, by zobaczyć przed sobą Rileya, ale niezmiennie trzymałam się trochę z tyłu. W ten sposób dogoniłszy grupę Raoula. Zapach krwi wciąż utrudniał mi skupienie się na ważniejszych sprawach.

— Raoul! — krzyknął Riley.

Ten mruknął coś, ale się nie odwrócił. Był jak urzeczony słodkim ludzkim zapachem.

— Muszę pomóc Kristie! Zobaczymy się na miejscu! Skoncentruj się! — wołał za nim Riley.

Nagle przyszło mi coś do głowy i zatrzymałam się gwałtownie, ogarnięta niepewnością. Raoul parł naprzód, zupełnie nie reagując na słowa Rileya. Ten zaś zwolnił do truchtu, a potem do marszu. Powinam się ruszyć, ale pewnie wtedy usłyszałby, że próbuję się ukryć. Odwrócił się z uśmiechem i mnie dostrzegł.

— Bree. Myślałem, że jesteś z Kristie.

Nie odpowiedziałam.

— Słyszałem, jak komus działa się krzywda. Kristie potrzebuje mnie bardziej niż Raoul — wyjaśnił szybko.

— Czy ty nas... zostawiasz? — spytałam.

Mina Rileya nagle się zmieniła. Właściwie udało mi się odczytać jego zamiary z wyrazu twarzy. Otworzył szeroko oczy, nagle zaniepokojony.

— Martwię się, Bree. Mówiłem ci, że mamy się z nią spotkać, że miała nam pomóc, ale nie trafiłem na jej trop. Coś jest nie tak i muszę ją odnaleźć.

— Ale nie dasz rady jej odnaleźć, zanim Raoul dotrze do żółtookich — zauważyłam.

— Muszę dowiedzieć się, co się stało. — W głosie Rileya słyszałam prawdziwą desperację. — Potrzebuję jej. Mielismy działać razem!

– Ale pozostali...

– Bree, muszę ją odnaleźć. Teraz! Jest was dość wielu, by pokonać żółtokoch. Wróćcie, gdy tylko będę mógł.

Zdawał się mówić tak szczerze, że powstrzymałam chęć spojrzenia w kierunku, z którego przyszedł. Fred pewnie był już w połowie drogi do Vancouver. A Riley nawet o niego nie zapytał. Może talent Freda wciąż był aktywny?

– Tam jest Diego, Bree – rzucił nagle Riley. – Będzie wystawiony na pierwszy atak. Nie złapałaś jego zapachu? Nie byłaś dość blisko?

Potrząsnęłam głową, zupełnie skołowana.

– Diego tam był?

– Teraz pewnie jest już z Raulem. Jeśli się spieszysz, możesz pomóc mu ująć z życiem.

Przez długą chwilę patrzyliśmy na siebie, aż w końcu spojrzaliśmy na południe, dokąd prowadziła ścieżka Raoula.

– Grzeczna dziewczynka – rzekł Riley. – Znajdę ją i wrócimy, by pomóc wam posprzątać. Opanowaliśmy sytuację. Zanim do nich wrócisz, może już będzie po wszystkim!

Pobiegł ścieżką prostopadłą do tej, którą przyszedliśmy. Dotarło do mnie, że kłamał, i zacisnęłam zęby ze złości. Kłamał do samego końca, z nie-wzruszoną pewnością. Ale ja nie miałam już żadnego wyboru. Ruszyłam więc dalej, znowu biegiem. Musiałam znaleźć Diega. Odciągnąć go od walki

siłą, jeśli będzie trzeba. Musieliśmy dogonić Freda albo uciekać na własną rękę. Chciałam mu powiedzieć, że Riley nas okłamał. Diego zrozumie, że Riley nie miał najmniejszego zamiaru pomagać nam w bitwie, którą wywołał. I że my też nie musimy mu już pomagać.

Najpierw odnalazłam zapach dziewczyny, a potem Raoula. Nie wyczułam jednak Diega. Może biegłam zbyt szybko? Albo ludzki trop osłabł moją czujność? Nasz pościg nie miał sensu; było jasne, że znajdziemy dziewczynę, ale czy będziemy wtedy potrafili walczyć wspólnie przeciwko tamtym? Oczywiście, że nie, raczej rozszarpimy siebie nawzajem na strzępy, byle ją dorwać. Nagle usłyszałam jęgot, krzyki i piski tuż przede mną – znak, że przybyłam zbyt późno. Walka się zaczęła, zanim zdążyłam odnaleźć Diega. Pobiegłam szybko z nadzieją, że zdążę go jeszcze uratować.

Z wiatrem doleciał do mnie dym – słodki, gęsty zapach ciała palonego wampira. Odgłosy rzęzi stawały się coraz wyraźniejsze. Może rzeczywiste walka już się skończyła? Czy znajdę tam czekającego na mnie Diega? Czy nasze zgromadzenie wygra?

Pędziłam przez gęstą zasłonę dymu i nagle wybiegłam z lasu na wielką, porośniętą trawą polanę. Przeskoczyłam przez jakiś kamień, z opóźnieniem zdając sobie sprawę, że to nie kamień, lecz ciało pozbawione głowy.

Rozejrzałam się wokół. Dostrzegłam kawałki ciał i wielkie ognisko, z którego fioletowy dym unosił się prosto w słoneczne niebo. Przez kłęby dymu widziałam też szalejące, lśniące wampirze postacie rozdzielane przy akompaniamencie warknięć i wrzasków. Szukałam jednej rzeczy: kręconych czarnych włosów Diega. Nikt inny nie miał tak ciemnych jak on. Wypatrzyłam jednego ogromnego, ciemnowłosego wampira, ale był zdecydowanie zbyt duży jak na Diega. Zobaczyłam zresztą, że odrywa głowę Kevina, wrzuca ją do ognia i skacze na plecy następnej ofierze. Czyżby to była Jen?

Dostrzegłam też drugą postać z czarnymi włosami, ale ta była z kolei za mała. Poruszyła się tak szybko, że nie mogłam stwierdzić, czy to dziewczyna, czy chłopak. Rozejrzałam się raz jeszcze i pomyślałam, że powinienam usunąć się z pola walki. Zaczęłam rozpoznawać twarze. Wampirów było już znacznie mniej, nawet licząc ofiary leżące na ziemi. Nie zobaczyłam nikogo z grupy Kristie – widocznie wszystkich spalono. Ci, którzy stali o własnych siłach, byli mi obcy. Jakiś wampir z blond włosami spojrzął na mnie, a w słońcu jego oczy błysnęły złością.

Przegrywałam. I to z kretesem.

Zaczęłam wycofywać się w kierunku drzew, niezbyt szybko, bo wciąż szukałam Diega. Nie było go tam. Nie znalazłam też nic, co by wskazywało, że kiedykolwiek tu był. Ani śladu jego zapachu,

choć natrafiłam na tropy koleśków Raoula i wielu obcych. Zmusiłam się też do obejrzenia porozrzucanych szczątków. Żadne z ciał nie należało do Diega – rozpoznałabym choćby jego palec.

Odwróciłam się i rzuciłam w kierunku lasu, nagle przekonana o tym, że cała opowiadanka Riley o moim przyjacielu była wyłącznie kolejnym kłamstwem. A skoro Diega tutaj nie było, to już nie żył. Ta myśl przyszła mi do głowy tak naturalnie, że chyba już od jakiegoś czasu podświadomie znalazłam prawdę. Od chwili gdy Diego nie wrócił z Rileyem do piwnicy... Już go nie było.

Znajdowałam się niedaleko linii drzew, kiedy coś wielkiego niczym kula armatnia uderzyło mnie w plecy i przewróciło na ziemię. Czyjaś ręka złapała mnie za szyję.

– Błagam! – zaszlochałam.

Błagałam, by zabili mnie jak najszybciej. Uścisk zelżał. Nie walczyłam, choć instynkt nakazywał mi gryźć, szarpać się i pazurami rozerwać wroga na strzępy. Jednak rozsądek podpowiadał, że nie ma to najmniejszego sensu. Riley kłamał – nie walczyliśmy ze słabymi, starymi wampirami; nie mieliśmy szans z nimi wygrać. Zresztą nawet gdybym mogła zabić tego, który mnie zaatakował, nie byłam w stanie się ruszyć. Diega już nie ma i ta świadomość zniszczyła we mnie chęć walki.

Nagle coś wyrzuciło mnie w powietrze; uderzyłam o drzewo i spadłam na ziemię. Powinnam

była podnieść się i biec, ale Diego nie żył i straciłam ochotę do ucieczki. Blondwłosy wampir, którego widziałam na polanie, wpatrywał się we mnie, gotowy do skoku. Wyglądał na doświadczonego gracza, o wiele zręczniejszego niż Riley. Z jakiegoś powodu się na mnie nie rzucał. Nie szalał w amoku jak Raoul czy Kristie. Panował nad sobą.

— Błagam — powtórzyłam, prosząc, by zakończył moją mękę. — Nie chcę walczyć.

Nie stracił czujności, ale jego twarz się zmieniła. Popatrzył na mnie w jakiś dziwny sposób. W jego spojrzeniu było zrozumienie i coś jeszcze. Współczucie? Na pewno litosć.

— Ja także, moje dziecko — powiedział spokojnym, dobrym głosem. — My tylko się bronimy.

W jego dziwnych żółtych oczach dostrzegłam taką szczerą, że zaczęłam się zastanawiać, jak mogłam kiedykolwiek wierzyć w historyjki Rileya. Poczulałam się... winna. Może ich zgromadzenie nigdy nie miało zamiaru atakować nas w Seattle? Jak mogłam wierzyć w cokolwiek, co usłyszałam?

— Nie wiedzieliśmy... — wyjaśniłam ze wstydem. — Riley nas okłamał, przepraszam.

Nieznajomy nasłuchiwał przez chwilę i nagle usłyszałam, że odgłosy bitwy ucichły. Koniec.

Jeśli przez chwilę nie byłam pewna, kto wygrał, to wątpliwości rozwiały się, gdy sekundę później

dolażyła do nas wampirzyca z falującymi brązowymi włosami i żółtymi oczami.

— Carlisle? — spytała zaniepokojona, patrząc na mnie.

— Ona nie chce walczyć — wyjaśnił.

Kobieta dotknęła jego ramienia. Wampir wciąż był gotowy do ataku.

— Ona jest przerażona, Carlisle — powiedziała.

— Czy nie moglibyśmy...

Jasnowłosy wampir spojrzął na nią i wyprostował się, ale widziałam, że wciąż zachowuje czujność.

— Nie chcemy cię skrzywdzić — zwróciła się do mnie kobieta. Miała ciepły, kojący głos. — Nie chcieliśmy też z wami walczyć.

— Przepraszam — wyszeptałam znowu.

Nie potrafiłam opanować chaosu, jaki ogarnął moje myśli.

Diego nie żył, i to było porażające. Reszta się nie liczyła. Bitwa się skończyła, moje zgromadzenie przegrało, a ja wpadłam w ręce wroga. Tyle że w moim zgromadzeniu prawie każdy wampir z chęcią popatrzyłby, jak płonę, natomiast wrogiem zupełnie bez powodu mówili do mnie z czułością. Na dodatek z tymi dwoma obcymi wampirami czulałam się bezpieczniejsza niż kiedykolwiek z Raulem i Kristie. Czulałam ulgę, że oboje nie żyją. Wszystko mi się mieszało.

– Dziecko – odezwał się Carlisle. – Czy podasz się nam? Jeśli nie będziesz próbowała nas skrzywdzić, my nie skrzywdzimy ciebie, obiecuję. Uwierzyłam mu.

– Tak – odparłam szeptem. – Tak, poddam się. Nie chcę nikomu robić krzywdy.

Zachęcającym gestem wyciągnął do mnie dłoń.
– Chodź z nami, moje dziecko. Nasza rodzina musi się przegrupować, a potem zadamy ci kilka pytań. Jeśli odpowiesz na nie szczerze, nie masz się czego bać.

Wstałam powoli, każdym gestem dając do zrozumienia, że nie chcę ich zaatakować.

– Carlisle? – zawołał jakiś męski głos.

Chwilę później dołączył do nas kolejny żółtoki wampir. Jednak gdy tylko go zobaczyłam, rozwiła się moje poczucie bezpieczeństwa.

Miał także jasne włosy, ale był wyższy i szczuplejszy. Całe jego ciało pokrywały blizny, szczególnie dużo było ich na karku i szczęce. Na ramieniu dostrzegłam kilka świeżych ran, ale reszta pochodziła z wcześniejszych bitew. Pewnie miał za sobą więcej walk, niż potrafiłam sobie wyobrazić, i nigdy nie przegrał. Brązowożółte oczy lśniły, a cała jego postawa wskazywała, że ledwie potrafi powstrzymać w sobie złość rozjuszonego lwa.

Kiedy mnie zobaczył, przygotował się do ataku.

– Jasper! – ostrzegł go Carlisle.

Jasper opanował się i spojrzął na Carlisle'a ze zdziwieniem.

– O co ci chodzi?

– Ona nie chce walczyć. Poddada się.

Brew pokrytego bliznami wampira uniosła się pytająco i nagle poczułam nieoczekiwany wpływ frustracji, choć nie miałam pojęcia, co go wywołało.

– Carlisle, ja... – zawałał się Jasper, ale mówił dalej: – Przykro mi, ale to niemożliwe. Nie możemy pozwolić, aby Volturi zobaczyli nas z którymkolwiek z tych nowo narodzonych. Zdasz się sobie sprawę, jak by to było niebezpieczne?

Nie zrozumiałam wszystkiego, o czym mówił, ale wiedziałam jedno: chciał mnie zabić.

– Jasper, to jeszcze dziecko – zaprotestowała kobieta. – Nie możemy jej zamordować z zimną krwią!

Dziwnie było słuchać, jak ktoś mówi o wampirach, jakby byli ludźmi. Jakby zabicie wampira było czymś złym i możliwym do uniknięcia.

– Tu chodzi o naszą rodzinę, Esme. Nie możemy pozwolić, aby myśleli, że złamaliśmy zasadę.

Esme stanęła między mną a Jasperem. Nie wiem dlaczego, ale odwróciła się do mnie plecami.

– Nie, nie pozwolę na to.

Carlisle spojrzął na mnie niespokojnie. Wiedziałam, że zależy mu na tej kobiecie. Patrzałaby tak samo na kogoś, kto stałby za plecami

Diega. Staralam się wyglądać jak najbardziej po-
tulnie. Tak też się czułam.

– Jasper, myślę, że powinniśmy zaryzykować –
rzekł powoli. – Nie jesteście Volturi. Przestrze-
my ich zasad, ale nie marnujemy czyjegoś życia.
Wyjaśnij im.

– Mogą pomyśleć, że my też stworzyliśmy sobie
do obrony własnych nowo narodzonych.

– Ale tak nie było. Poza tym to nie tutaj pojawił
się problem, tylko w Seattle. Nie ma prawa, które
zabrania kreowania wampirów, pod warunkiem że
ten, kto je stworzył, potrafi je kontrolować.

– To zbyt niebezpieczne.

Carlisle z czułością dotknął ramienia Jaspera.

– Nie możemy zabić tego dziecka.

Jasper spojrział gniewnie na Carlisle'a, co obu-
dziło moją złość. Chyba nie zamierzał skrzyw-
dzić tego dobrego wampira ani jego ukochanej!
Jednak Jasper tylko westchnął i wiedziałam, że
z jego strony nic im nie grozi. Mój gniew od ra-
zu zniknął.

– Nie podoba mi się to – odparł najmłodszy
z wampirów, ale był już spokojniejszy. – Przynaj-
mniej pozwólcie, bym się nią zajął. Wy dwoje nie
wiedziecie, jak radzić sobie z kimś, kto przez tak dłu-
gi czas zachowywał się dziko.

– Oczywiście, Jasper – zgodziła się Esme. –
Tylko bądź miły.

Chłopak przewrócił oczami.

– Musimy wracać do pozostałych. Alice mówi-
ła, że nie zostało dużo czasu.

Carlisle skinął głową. Wyciągnął dłoń do Esme
i razem wyszli na otwarte pole, mijając Jaspera.

– Ty tam! – zwrócił się do mnie Jasper, znów
ogarnięty złością. – Idziesz z nami. I nie waż się
zrobić niczego głupiego, bo sam cię załatwię!

We mnie także na nowo obudził się gniew. Gdy
tak na mnie patrzył, nabrałam ochoty, by warknąć
i odsłonić zęby, ale wiedziałam, że tylko czeka na
taką prowokację. Zatrzymał się na chwilę, jakby
wpadł na jakiś pomysł.

– Zamknij oczy – rozkazał.

Zawahałam się. Może jednak chciał mnie za-
bić?

– Już!

Zacisnęłam zęby i zamknęłam oczy. Czułam
się jeszcze bardziej bezbronna niż poprzednio.

– Idź za moim głosem i nie otwieraj oczu.
Spojrzysz i nie żyjesz, rozumiesz?

Kiwnęłam głową, zastanawiając się, czego tak
strzeżę przed moim wzrokiem. Poczulałam ulgę, że
w ogóle zadał sobie trud ukrywania czegoś
przede mną. Nie zrobiłby tego, gdyby planował
mnie zabić.

– Tędy.

Powoli szłam za Jasperem, uważając, by nie dać
mu powodu do złości. Prowadził mnie ostrożnie,
żebym nie wpadła na żadne drzewo. Słyszałam, jak

zmieniły się dźwięki wokół nas, gdy wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Inny był wiatr, a odór płonących wampirów z mojego zgromadzenia stawał się coraz silniejszy. Czułam też słońce ogrzewające moją twarz, a w miarę jak zaczynałam lśnić, pod powiekami robiło się jaśniej.

Jasper prowadził mnie do kłębowiska płomieni, tak blisko, że czułam, jak dym otula moje ciało. Wprawdzie wiedziałam, że Jasper mógł mnie zabić do tej pory już kilka razy, ale bliskość tego ognia bardzo mnie denerwowała.

– Siadaj tutaj. Nie otwieraj oczu.

Ziemia była nagrzana od słońca i ognia. Usiadłam spokojnie i próbowałam wyglądać na nieszkodliwą, ale czułam na sobie spojrzenie Jaspera, które budziło moją nerwowość. Mimo że nie byłam zła na te wampiry, które – teraz już wiedziałam – tylko się broniły, to jednak od czasu do czasu ogarniała mnie furia. Rodziła się jakby poza mną, jakby została po bitwie, która dopiero co się zakończyła. Ten gniew na szczęście okazał się zbyt słaby, bym zrobiła coś głupiego, a to dlatego, że byłam bardzo smutna – nieszcześliwa do granic możliwości. Cały czas myślałam o moim najlepszym przyjacielu i nie mogłam przestać zastanawiać się, jak zginął.

Byłam święcie przekonana, że z własnej woli nigdy nie wyjawiliby Rileyowi naszych tajemnic – tych, które sprawiły, że ufałam mu tak długo,

aż było za późno. W wyobraźni znów zobaczyłam twarz Riley'a – wyuczoną, chłodną minę, którą przybierał, gdy straszyl nas karą za ewentualne złe zachowanie. Znów usłyszałam koszmarny i makabrycznie szczegółowy opis tego, co zrobi z nami ona: *...i będę was trzymać, kiedy ona zacznie odrywać wam nogi, a potem powoli, powolutku spali wasze palce, uszy, wargi, język i wszystkie pozostałe zbędne członki... jeden po drugim.*

Zdałam sobie sprawę, że słuchałam wtedy opisu śmierci Diega. Tamtego wieczoru coś w Rileyu się zmieniło. Zabicie Diega dodało mu odwagi. Uwierzyłam wówczas w to, co usłyszałam i w co chciałam uwierzyć: że Riley ceni Diega bardziej niż kogokolwiek z nas. Co więcej, lubi go. A on patrzył, jak nasza stwórczyni go torturuje. I bez wątpienia pomógł jej. Zabili Diega wspólnie.

Zastanawiałam się, jak wielki ból musieliby mi zadać, bym zdradziła mojego przyjaciela. Zdawało mi się, że nie poszłoby im wcale tak łatwo. I byłam pewna, że trwało bardzo długo, zanim zmusili Diega, by mnie zdradził. Czułam mdłości. Pragnęłam wyrzucić z wyobraźni obraz Diega krzyczącego w agonii, ale mi się nie udało.

Wiem na polu rozległy się krzyki. Moje powieki drgnęły, ale Jasper warknął ostrzegawczo, więc natychmiast je zacisnęłam. I tak nie zo-

baczyłabym nic oprócz gęstego dymu w kolorze lawendy.

Słyszałam krzyki i potworne, dzikie wycie. Niosło się daleko i trwało dość długo. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jakie cierpienie musi mallować się na twarzy tak wyjącego stworzenia, a przez to dźwięk stawał się jeszcze bardziej przerażający. Te żółtookie wampiry tak bardzo różniły się od nas. Czy raczej ode mnie. Bo chyba już tylko ja zostałam z całego zgromadzenia. Riley i ona dawno stąd zniknęli.

Usłyszałam, jak ktoś woła kolejne osoby po imieniu: *Jacob, Leah, Sam*. W odpowiedzi odezwały się różne głosy, ale wycie nie ustawało. Oczywiście, Riley okłamał nas także co do liczby żółtookich wampirów.

Krzyki powoli cichły, aż pozostał tylko ten jeden głos, zwierzęcy, pełen cierpienia, który przyprawiał mnie o dreszcze. W wyobraźni widziałam twarz Diega i to wycie kojarzyło mi się wyłącznie z jego śmiercią. Z hałasów rozlegających się wokół mnie wyłowiałam głos Carlisle'a. Błagał, by pozwolono mu na coś spojrzeć.

– Proszę, pozwólcie mi zobaczyć. Pozwólcie mi pomóc!

Zdawało mi się, że nikt się temu nie sprzeciwia, ale ton jego głosu wskazywał na to, że przegrywa w tej dyskusji.

A potem wycie weszło na wyższe tony, Carlisle zaczął powtarzać rozgorączkowanym głosem „dziękuję”, w tle zaś usłyszałam szmer poruszenia wśród zebranych i zbliżające się ciężkie kroki. Skupiłam się bardziej i nagle usłyszałam coś zupełnie nieoczekiwanego i niemożliwego do pojęcia. Najpierw ciężkie oddechy – nigdy nie słyszałam, by ktoś w naszym zgromadzeniu tak głośno odychał – a potem bardzo wiele następujących po sobie szybkich, głuchych uderzeń. Jakby... bięcie serc. Ale z pewnością nie ludzkich. Ten akurat dźwięk znałam bardzo dobrze. Wciągnęłam powietrze, jednak wiatr wiał z przeciwnego kierunku i czułam jedynie dym.

Nagle, bez ostrzeżenia, coś dotknęło mego ramienia i złapało mnie za głowę z dwóch stron. W panice otworzyłam oczy i wyrwałam się do przodu, próbując wyzwoić się z tego uścisku, ale natychmiast napotkałam ostrzegawcze spojrzenie Jaspera, którego twarz znajdowała się kilka centymetrów od mojej.

– Spokój! – warknął, sadzając mnie z powrotem na ziemi. Ledwie go usłyszałam; zdałam sobie sprawę, że to on trzyma mnie za głowę, zakrywając uszy. – Zamknij oczy! – rozkazał znowu, prawdopodobnie normalnym głosem, który dla mnie brzmiał jak szept.

Próbowałam się uspokoić i znów zacisnęłam powieki. Widocznie działy się rzeczy, których nie

powinam słyszeć. Przeżyłabym to — jeśli to oznaczałoby, że w ogóle mam żyć.

Przez chwilę pod powiekami widziałam twarz Freda. Powiedział, że poczeka na mnie jeden dzień. Ciekawe, czy dotrzyma słowa. Chciałabym móc mu powiedzieć prawdę o żółtokich i o wszystkim, czego wcześniej nie wiedzieliśmy. O świecie, o którym nie mieliśmy pojęcia. Byłoby cudownie móc go odkrywać. Zwłaszcza z kimś, przy kim byłabym niewidzialna i bezpieczna.

Ale Diego już nie było. Nie mógł wyruszyć ze mną na poszukiwanie Freda. Myślenie o przyszłości przynosiło jedynie ból.

Wciąż słyszałam co nieco z tego, co się działo dokoła, ale głównie było to wycie i kilka głosów. Nie rozpoznawałam dziwnych głuchych uderzeń, które zresztą teraz przycichły. Przeształam się nad nimi zastanawiać. Udało mi się zrozumieć kilka słów, kiedy Carlisle mówił: „Musisz... — potem urwał i po chwili dodał: ...stąd teraz. Gdybyśmy mogli pomóc... Ale nie możemy odejść”.

Usłyszałam też warknięcie, jednak tym razem dziwnie niegroźne. Wycie zmieniło się w niski jęk, który powoli cichł, jakby oddalając się ode mnie. Przez kilka minut panowała cisza. Znowu usłyszałam stłumione głosy, wśród nich Carlisle'a i Esme, ale pozostałych nie znałam. Żałowałam, że nic nie czuję. Zamknięte oczy i zasłonięte uszy zmusiły mnie do szukania jakiejś innej informacji zmysto-

wej, lecz czułam tylko obrzydliwy, duszący dym. Wśród głosów wyróżniał się jeden, wyższy i donośniejszy niż pozostałe. Słyszałam go tak dobrze, że mogłam rozróżnić słowa.

— Jeszcze pięć minut — mówił ktoś. Byłam prawie pewna, że głos należy do dziewczyny. — A Bella otworzy oczy za trzydzieści siedem sekund. Nie wykluczam, że już nas słyszy.

Próbowałam zrozumieć cokolwiek. Czy jeszcze kogoś zmusili, by zamknął oczy, tak jak ja? A może ta dziewczyna myślała, że ja mam na imię Bella? Nie podałam swojego imienia nikomu. Znowu spróbowałam coś wyczuć. Słyszałam jedynie pomruki. Wydawało mi się, że jeden głos zniknął — całym przestałam go rozpoznawać. Ale Jasper tak mocno przyciskał mi dłoń do uszu, że niczego nie byłam pewna.

— Trzy minuty — odezwał się wysoki, czysty głos tamtej dziewczyny.

Jasper puścił moją głowę.

— Lepiej otwórz oczy — nakazał, oddalając się na kilka kroków.

Powiedziało to w taki sposób, że się przestraszyłam. Rozejrzałam się szybko dokoła, szukając ukrytego niebezpieczeństwa. Cały widok przysła-
niał mi ciemny dym. Tuż obok Jasper marszczył czoło. Zaciśnął zęby i patrzył na mnie z takim wyrazem twarzy... jakby też się bał. Nie mnie, ale raczej czegoś, co miało się wydarzyć z moje-

go powodu. Pamiętałam, co mówił wcześniej – o tym, że przeze mnie znajdują się w niebezpieczeństwie i zagrożą im jacyś... Volturi. Kim są ci Volturi? Nie umiałam sobie wyobrazić, czego może bać się taki doświadczony w walce, niebezpieczny wampir.

Za Jasperem dostrzegłam jeszcze cztery wampiry, odwrócone do mnie plecami. Jednym była Esme, a z nią siedzieli wysoka blond kobieta, drobna czarnowłosa dziewczyna i ciemnowłosego wampir, tak ogromny, że strach było nawet na niego patrzeć – to właśnie on zabił Kevina. Przez chwilę wyobraziłam sobie, że może złapał także Raoula. Ten obrazek sprawił mi dziwną przyjemność.

Za tym największym zobaczyłam jeszcze trzy kolejne wampiry. Nie widziałam dokładnie, co robią, bo olbrzym zasłaniał mi widok. Carlisle klęczał na ziemi, a obok niego stał chłopak z ciemnorudymi włosami. Na ziemi leżał jeszcze ktoś, ale widziałam jedynie dzinsy i niewielkie brązowe buty. Albo była to dziewczyna, albo młody mężczyzna. Pomyślałam, że może składają go do kupy.

A więc w sumie ośmioro żółtookich, plus ten wyjący, którego słyszałam wcześniej (musiał należeć do jakiegoś dziwnego rodzaju). Rozróżniłam jeszcze przynajmniej osiem innych głosów. Czyli szesnaście, a może nawet więcej. Przynajmniej dwa razy więcej, niż kazał nam się spodziewać Riley.

Nagle zaczęłam mieć nadzieję, że wampiry odziane w czarne peleryny zlapią Rileya i godzinami będą go torturować.

Wampir leżący na ziemi zaczął się podnosić – to była dziewczyna, ale poruszała się tak niezgrabnie, powoli, jakby była słabym człowiekiem. Wiatr zmienił kierunek, nawiewając dym na twarz moją i Jaspera. Przez chwilę widziałam tylko jego. Nagle z jakiegoś powodu stałam się bardziej niespokojna. Jakbym odczuwała niepokój emanujący właśnie z Jaspera, kiedy stał tak blisko... Lekki wietrzyk znów zawrócił i nagle całkowicie odzyskałam wzrok i powonienie. Jasper syknął z wściekłością, popchnął mnie i powalił z powrotem na ziemię. To była ona – ludzka dziewczyna, na którą polowałam jeszcze kilka minut temu! To był zapach, na którym skoncentrowały się wszystkie moje myśli. Słodki, wilgotny zapach najsmaczniejszej krwi, jaką kiedykolwiek wyczułam. W ustach i w gardle zaczęło mnie palić jak nigdy dotąd.

Z desperacją próbowałam odzyskać zdrowy rozsądek – wiedziałam, że Jasper tylko czeka, aż znówu się zerwę, by mógł mnie zabić, ale nie byłam w stanie w pełni nad sobą zapanować. Czulałam się tak, jakby coś rozrywało mnie na pół, ciągnęło w dwie różne strony. Ludzka dziewczyna o imieniu Bella przyglądała mi się zdziwionymi brązowymi oczami. Gdy na nią patrzyłam, było

jeszcze gorzej. Widziałam krew płynącą pod cienką skórą. Próbowalam nie patrzeć, ale moje spojrzenie wciąż kierowało się na nią.

Rudowłosy wampir odezwał się do niej cicho:

– Poddada się. Tylko Carlisle mógł zaproponować coś takiego komuś tak młodemu. Jasper tego nie pochwala.

Widocznie Carlisle wyjaśnił mu wszystko, gdy miałam zasłonięte uszy. Rudy wampir obejmował ludzką dziewczynę, a ona przyciskała dłońie do jego piersi. Jej gardło znajdowało się zaledwie kilka centymetrów od jego ust, ale ona nie wyglądała, jakby się bała choć trochę, a on – jakby poował. Już wcześniej próbowałam jakoś poukladać sobie w głowie, że zgromadzeniu towarzyszy człowiek-maskotka, ale między tym dwojgiem istniało coś więcej. Gdyby ta Bella była wampirem, pomyślałabym, że są parą.

– Nic mu nie jest? – zapytała, mając na myśli Jaspera.

– To nic takiego, swędzą go tylko resztki jadu – odparł on.

– Ktoś go ugryzi? – spytała znów, zdziwiona samym pomysłem.

Kim była ta dziewczyna? Dlaczego wampiry pozwały jej ze sobą być? Czemu jej nie zabili? Jak to możliwe, że tak swobodnie się przy nich czuła, jakby się nie bała? Wyglądało na to, że jest częścią ich świata, ale nie rozumie wszyst-

kiego. Oczywiście, że Jasper ktoś pogryzi. Właśnie bit się – i zabił większość mojego zgromadzenia. Czy ona w ogóle miała pojęcie, czym bylibyśmy?

O rany, pieczenie w gardle stawało się nie do zniesienia! Próbowalam nie myśleć o tym, jak bardzo pragnę splukać je krwią Belli, ale wiatr nawiewał jej zapach prosto w moją twarz! Było za późno, bym mogła się opanować – wyczułam zwierzyinę, na którą polowałam, i nic nie mogło tego zmienić.

– Chciał być wszędzie naraz – wyjaśnił rudowłosy. – Byle tylko Alice nie miała nic do roboty.

– Pokręcił głową, spoglądając na drobną, ciemnowłosą dziewczynę. – Alice nie potrzebuje taryfy ulgowej.

Wampirzyca o imieniu Alice rzuciła Jasperowi gniewne spojrzenie.

– Nadopiekuńczy głupek – powiedziała dźwięcznym głosem.

Jasper odwzajemnił spojrzenie, uśmiechając się lekko, i na chwilę zapomniał o moim istnieniu. A ja ledwie potrafiłam zwalczyć instynkt, który nakazywał mi skorzystać z jego nieuważgi i rzucić się na dziewczynę. Zająłoby to tylko chwilę i jej ciepła krew (słyszałam, jak pulsuje) ugasiłaby żar w moim gardle. Była tak blisko...

Wampir z ciemnorudymi włosami dostrzegł moje napięcie i spojrzał na mnie ostrzegawczo.

Wiedziałam, że jeśli rzucę się na Belle, on mnie zabije, ale pieczenie w gardle także oznaczało dla mnie śmierć. Bolało tak bardzo, że wydałam z siebie mimowolny okrzyk.

Jasper warknął na mnie. Z wszystkich sił starałam się nie drgnąć, ale zapach jej krwi był jak wielka ręka, która poderwała mnie z ziemi. Do tej pory ani razu nie musiałam powstrzymywać się przed zabiciem, jeśli zwietrzyłam ofiarę. Wbiłam palce w ziemię, bezskutecznie szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Jasper przyjął pozycję do ataku, jednak nawet świadomość, że za chwilę umrę, nie mogła powstrzymać mojego pragnienia. I nagle tuż obok znalazł się Carlisle i położył dłoń na ramieniu Jaspera. Spojrzał na mnie dobrymi, spokojnymi oczami.

— Zmieniłaś może zdanie? — zapytał. — Nie chcemy cię zabić, ale będziemy do tego zmuszeni, jeśli nie weźmiesz się w garść.

— Jak wy to znosicie? — spytałam błagalnie. Czy Carlisle nie czuł tego żaru w gardle? — Jej krew mnie wola. — Wpatrywałam się w dziewczynę, marząc o tym, by odległość między nami nagle zniknęła. Palcami bezradnie grzebałam w kamienistej ziemi.

— Musisz to wytrzymać — poważnie odparł Carlisle. — Musisz nauczyć się kontrolować. To możliwe, i to dla ciebie teraz jedyna droga do ocalenia życia.

Jeśli tolerowanie bliskości człowieka — jak robili to żółtookie wampiry — stało się moją jedyną nadzieją na ocalenie, to byłam skazana na śmierć. Nie potrafiłam znieść tego palącego bólu. Zresztą i tak nie miałam wyjścia. Nie chciałam umierać, nie chciałam czuć bólu, ale po co miałabym przeżyć? Wszyscy pozostali zginęli. Diego od dawna już nie żył. Diego... Jego imię cisnęło mi się na usta, prawie wypowiedziałam je na głos. Ale zamiast tego zlapałam się tylko za głowę i próbowałam myśleć o czymś, co nie bolało. Nie o dziewczynie i o Diegu. Ale kiegoś mi szło.

— Czy nie powinieneś mnie zabrać w jakieś bezpieczniejsze miejsce? — nerwowo wyszeptała Bella, znów wyrwywając mnie z zamyślenia. Spojrzałam na nią. Miała skórę tak cienką i mięką, że widziałam pulsującą na szyi krew.

— Musimy zaczekać — wyjaśnił wampir, do którego się przytulała. — Oni będą tu lada chwila, przyjdą od północy.

Oni? Zerknęłam w kierunku północnym, ale widziałam tylko dym. Czyżby miał na myśli Riley i moją stwórczynię? Poczulałam nagły przypływ paniki, a potem pojawiła się iskierka nadziei. Przecież to niemożliwe, by ta dwójka mogła stawić czoło żółtookim, którzy zabili wszystkich naszych, prawda? Nawet jeśli te wyjące wampiry zniknęły, to sam Jasper wyglądał na zdolnego zabić ją i Rileyę.

A może miał na myśli tajemniczych Volturich? Wiatr znów przywiał ludzki zapach w moją stronę i już nie byłam w stanie myśleć o niczym innym. Patrzyłam na dziewczynę, czując rosnące pragnienie. Odwzajemniła spojrzenie, ale zaskoczył mnie wyraz jej twarzy. Mimo że odsłoniłam zęby i drżałam, ledwie powstrzymując się przed skokiem, Bella w ogóle się mnie nie bała. Przeważnie – wydawała się zafascynowana, jakby chciała ze mną porozmawiać albo przynajmniej o coś zapytać.

A potem Carlisle i Jasper odsunęli się ode mnie i podeszli do pozostałych wampirów i dziewczyny. Wszyscy patrzyli gdzieś w dal. Zrozumiałam, że ustawili się tak, bym oddzielała ich od tych, którzy nadchodzili z tyłu. Przysunęłam się do płonącego stosu, nie zwracając uwagi na bijący od niego żar. Może powinienam spróbować ucieczki? Czy są na tyle zajęci czymś innym, że zdołam się wymknąć? Ale dokąd miałam pójść? Do Freda? Życ samotnie? Odnaleźć Rileya i zmusić go, by zapłacił za to, co zrobił Diegowi?

Gdy wahałam się, rozważając ostatnią możliwość, dogodny moment na ucieczkę minął. Usłyszałam poruszenie gdzieś na północ od nas i zostałam uwięziona między żółtoookimi a tymi, którzy nadchodzili.

— Hm... — rozległ się trupi głos za moimi plecami.

Wystarczył jeden pomruk, a ja wiedziałam już, do kogo ten głos należy. Gdybym nie zamarała jak słup soli z przerażenia, próbowałabym uciekać, gdzie pieprz rośnie. Wampiry w ciemnych pelerynach.

Co oznaczało ich przybycie? Czy miała rozpocząć się nowa bitwa? Wiedziałam, że ci w pelerynach życzyli mojej stwórczyni powodzenia w zniszczeniu żółtoookich. Ale ona najwidoczniej zawiodła. Czy to znaczyło, że ją zabiją? A może zamiast niej zabiją Carlisle'a, Esme i pozostałych? Gdyby wybór należał do mnie, nie zastanawiałabym się ani chwili – ci, którzy mnie pojmali, ocaleliby.

Nowo przybyli stanęli twarzą w twarz z żółtookim klanem. Nikt nie patrzył w moją stronę, a ja ani drgnęłam. Była ich tylko czwórka, tak jak ostatnio. Ale to, że żółtoookich było siedmioro, nie dawało im żadnej przewagi. Tak samo jak Riley i moja stwórczyni, żółtoocy dobrze wiedzieli, że z tamtymi trzeba bardzo uważać. W tych wampirach było coś, czego wzrok nie ogarniał, ale bez trudu dało się to wyczuć. Oni wymierzali kary i nigdy nie przegrywali.

— Witaj, Jane – odezwał się jeden z żółtoookich, ten który trzymał dziewczynę.

Znali się. Ale głos rudowłosego wampira nie był przyjazny; nie był też słaby i służalczy jak Rileya ani przerażony jak mojej stwórczyni. Wampir mówił tonem zimnym, grzecznym i w ogóle nie wyglądał na zaskoczzonego. A więc ci w pelerynach to Volturi?

Drobna wampirzyca, która ich prowadziła – Jane – uważnie przyjrzała się siedmiorgu żółtokich i dziewczynie, a potem w końcu spojrziała na mnie. Po raz pierwszy zobaczyłam jej twarz. W ludzkich latach była młodsza ode mnie, w wampirycznych – dużo starsza. Miała oczy barwy ciemnoczerwonych jedwabistych róż. Wiedziałam, że jest za późno, abym uciekła niezauważona, dlatego spuściłam tylko głowę i objęłam ją rękami. Myślałam, że jeśli dam do zrozumienia, iż nie chcę walczyć, Jane potraktuje mnie równie łagodnie jak Carlisle. Ale nie bardzo na to liczyłam.

– Nie rozumiem... – beznamiętny głos Jane zdradzał lekką irytację.

– Poddada się – wyjaśnił rudowłosy.

– Poddada się? – warknęła Jane.

Podniosłam nieco wzrok i zobaczyłam, że Volturi wymieniają spojrzenia. Rudowłosy powiedział wcześniej, że żaden inny wampir w historii się nie poddał. Zapewne oni także o tym wiedzieli.

– Carlisle dał jej wybór – rzekł rudowłosy. Wiodocznie był swego rodzaju rzecznikiem żółtokich, choć wydawało mi się, że właśnie Carlisle powinien być liderem.

– Ci, którzy nie przestrzegają reguł, nie mają prawa wyboru – oświadczyła Jane głosem wyzującym z jakichkolwiek emocji.

Czułam lodowaty chłód ogarniający całe moje ciało, ale przestałam panikować. Śmierć wydawała się już nieunikniona.

Carlisle odezwał się, mówiąc łagodnie do Jane: – Jej los jest w waszych rękach. Pomyślałam tylko, że gdyby zdecydowała się nas nie atakować, nie byłoby potrzeby jej likwidować. Nigdy nie uczono jej naszych praw.

Choć nie opowiadał się po żadnej ze stron, odniosłam wrażenie, że jednak chce mnie bronić. Tyle że mój los nie zależał już od niego.

– To nie ma tu nic do rzeczy – potwierdziła moje obawy Jane.

– Nie będę się spierał.

Jane patrzyła na Carlisle'a, jakby wciąż rozważała jego słowa. Pokręciła głową i jej twarz znów straciła jakikolwiek wyraz.

– Aro miał nadzieję, że zapuścimy się dostatecznie daleko na zachód, żeby się z tobą spotkać, Carlisle. Przesyła pozdrowienia – powiedziała.

– Bylbym wdzięczny, gdybyś i mnie posłużyła za posłańca – usłyszała w odpowiedzi. Jane się uśmiechnęła.

– Proszę bardzo. – Potem znów spojrziała na mnie, wciąż lekko wykrzywiając usta w uśmiechu.

– Najwyraźniej nie zostawiliście nam nic do roboty... no, prawie nic. Tak z zawodowej ciekawości, ilu ich było? Zdołali sterroryzować całe miasto.

Mówiła o „robocie” i „zawodowej ciekawości”. Miałam więc rację – ich zadaniem było wymierzenie kar i wykonywanie wyroków. A skoro mogli karać, istniały zapewne zasady, które niektórym łamali. Carlisle powiedział już wcześniej: „Przestrzegamy ich zasad” oraz „Nie ma prawa, które zabrania kreowania wampirów, pod warunkiem że ten, kto je stworzył, potrafi je kontrolować”. Riley i ja stworzynie bali się, ale nie zdziwiło ich nadejście Volturich. Wiedzieli o istnieniu praw i byli świadomi, że je łamią. Tylko dlaczego nam nie powiedzieli? Okazało się też, że istnieli inni Volturi, poza tą czwórka. Ktoś o imieniu Aro i jeszcze zapewne wielu innych, co wyjaśniało, czemu wszyscy tak bardzo się ich bali.

Na pytanie Jane Carlisle odpowiedział:

– Z tą tu osiemnastu.

Wśród Volturich przeszedł ledwie słyszalny szmer.

– Osiemnastu? – powtórzyła Jane lekko zdziwiona. Nasza stwórczyni nie powiedziała Jane, ilu nas stworzyła. Czy zdziwienie Jane było prawdziwe, czy tylko udawała?

– Sami nowo narodzeni – dodał Carlisle. – Zupewnie niedoświadczeni.

Niedoświadczeni i nieświadomi, dzięki Rileyowi. Zaczynałam już rozumieć, jak postrzegają nas te starsze wampiry. „Nowo narodzona”, tak nazwał mnie Jasper. Jakbym była niemowlęciem.

– Sami? – warknęła Jane. – To kto ich stworzył?

Jakby nie wiedziała. Jane była większą kłamczuchą niż Riley i okazała się zdecydowanie bardziej od niego przekonująca.

– Na imię jej było Victoria – odparł rudowłosy wampir.

Skąd znał jej imię, skoro nawet ja go nigdy nie słyszałam? Przypomniało mi się, że Riley wspominał, iż wśród żółtokich jest jeden, który potrafi czytać w myślach. Czy to dlatego wszystko wiedzieli? A może Riley kłamał i w tej kwestii?

– Było? – spytała Jane.

Rudowłosy wskazał kiwnięciem głowy na wschód. Spojrzałam tam i zobaczyłam chmurę gęstego liliowego dymu unoszącego się ze zbocza góry. Było. Poczulałam podobną przyjemność jak wtedy, gdy wyobrażałam sobie, że Jasper rozrywa na strzępy Raoula – tyle że dużo, dużo większą.

– Czyli osiemnastu plus Victoria, tak? – z namysłem spytała Jane.

– Zgadza się – potwierdził rudowłosy. – Miała też jednego przy sobie. Nie był taki młody jak te tutaj, ale nie miał więcej niż rok.

Riley. Czulałam radość i satysfakcję. Jeśli – no dobrze, kiedy – umrę, przynajmniej nie zostawię niezalutwionych spraw. Diego został pomszczony. Prawie się uśmiechnęłam.

— Zatem dwudziestu — westchnęła Jane. Albo na-
prawdę nie spodziewała się tak wielkiej liczby, albo
była genialną aktorką. — Kto zajął się Victorią?

— Ja — zimno odpowiedział wampir z rudymi
włosami.

Kimkolwiek był, bez względu na to, dlaczego
trzymał przy sobie tę ludzką dziewczynę, stał się mo-
jim przyjacielem. Nawet jeśli to on miał mnie zaraz
zabić, i tak byłam jego dłużniczką.

Jane odwróciła się, by spojrzeć na mnie spod
zmrugniętych powiek.

— Ty tam! — warknęła. — Jak masz na imię?

Dla niej i tak byłam już martwa. Po co miała-
bym więc mówić jej cokolwiek. Odważałam się
tylko spojrzeć. Jane się uśmiechnęła — rado-
nym, jasnym uśmiechem niewinnego dziecka.

I wtedy zaczęłam płonąć. Jakbym cofnęła się
w czasie do tamtej najgorszej nocy mojego życia.
Ogień pulsował w każdym kawalku mojego ciała,
w każdej tętnicy, przenikał szpik każdej kości.
Czułam się tak, jakby żywcem wrzucono mnie do
pogrzebowego stosu mojego zgrupowania i jakby
ze wszystkich stron otaczały mnie płomienie. Nie
było ani jednej komórki, której nie rozrywałby nie-
możliwy do zniesienia ból. Nie słyszałam nawet
swoich własnych krzyków.

— Jak masz na imię? — powtórzyła Jane, a gdy
się odezwała, ogień zniknął. Jak gdyby nigdy nic,
jakbym go sobie wymyśliła.

— Bree — odparłam tak szybko, jak mogłam,
wciąż dysząc, choć ból ustal.

Jane uśmiechnęła się raz jeszcze i ogień po-
wrócił. Ile jeszcze cierpienia będę musiała znieść,
zanim w końcu umrę? Krzyk, który dobywał się
z moich ust, zdawał się należeć do kogoś innego.
Czemu ktoś po prostu nie mógł oderwać mi gło-
wy? Carlisle był dobry, mógł to zrobić, prawda?
Albo ten wampir, który czyta w myślach — ktoś
z nich mógłby mnie zrozumieć i to zakończyć.

— I tak powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć
— rzucił rudowłosy. — Nie musisz jej tego robić.

Żar znów zniknął, jakby Jane wcisnęła wyłącz-
nik. Padłam twarzą do ziemi, dysząc, jakby bra-
kowało mi powietrza.

— Och, wiem o tym — oznajmiła wesoło Jane,
po czym zawołała mnie po imieniu.

Wzdrygnęłam się, oczekując bólu, ale tym ra-
zem dała mi spokój.

— Czy historia, którą tu usłyszeliśmy, jest
prawdziwa? — spytała. — Było was dwudziestu?

Słowa same wydobywały się z moich ust.

— Dziewiętnastu albo dwudziestu, może więcej,
nie wiem! Sara i taki jeden, nie wiem, jak miał na
imię, wdali się po drodze w bójkę...

Czekałam, aż Jane żywym ogniem ukarze mnie
za brak lepszej odpowiedzi, ale zamiast tego pyta-
ła dalej:

— A co z Victorią? Czy to ona was stworzyła?

— Nie wiem — przyznałam ze strachem. — Riley nigdy nie nazywał jej po imieniu. A wtedy, w nocy... było tak ciemno i tak bolało... — Wzdrygnęłam się. — Nie chciałam, żebyśmy mogli o niej myśleć. Mówił, że nasze myśli mogą zostać podsłuchane...
Jane zerknęła na rudowłosego, a potem znów spojrzęła na mnie.

— Powiedz mi coś więcej o tym Rileyu — nakażała. — Dlaczego was tutaj przyprowadził?
Zaczęłam recytować kłamstwa Riley'a tak szybko, jak potrafiłam.

— Powiedział, że mamy zlikwidować gromadę żółtookich. Bo Seattle to ich terytorium i już niedługo po nas przyjdą, więc lepiej ich uprzędzić. Mielśmy ich załatwić w dziesięć minut, tak nam powiedział. Gdybyśmy wygrali, całe miasto byłoby tylko dla nas. Tyle krwi! Dał nam do powąchania jej rzeczy. — Podniosłam rękę, żeby wskazać Belle. — Powiedział, że tak ich rozpoznamy, że żółtoocy będą tam, gdzie ona. Jak ktoś by ją znalazł, miał obiecać, że będzie tylko dla niego — wyjaśniłam.

— Jak widać, Riley pomylił się co do stopnia trudności tego starcia — skomentowała ironicznie Jane.

Chyba była zadowolona z tego, co powiedziałam. Zrozumiałam nagle, że jej ulżyło, bo z moich słów wynikało, iż Riley nie powiedział ani mnie, ani

pozostałym o wizycie, jaką Volturi złożyli Victorii. Moja wersja była odpowiednia, by przedstawić ją żółtookim — nie mieszała bowiem w sprawę ani Jane, ani pozostałych w pelerynach. Mogłam grać dalej. Z nadzieją, że ten, który czyta w myślach, i tak zna całą prawdę. Nie potrafiłam odegrać się na niej, na tym potworze, ale mogłam opowiedzieć wszystko żółtookim za pomocą myśli. Przynajmniej tak się ludziłam.

Skinęłam więc głowę, przytakując Jane, podniosłam się i usiadłam prosto, chcąc zwrócić na siebie uwagę tego, który czytał moje myśli. Opowiadałam dalej tę wersję historii, którą znali wszyscy z mojego zgromadzenia. Zachowywałam się tak, jakbym była Kevinem. Głupim jak but i zupełnie nieświadomym.

— Nie wiem, co się stało. — To akurat była prawda. Przebieg bitwy zaskoczył mnie. Nie wiedziałam na przykład nikogo z grupy Kristie. Czy zabiły ich owe wyjące wampiry? Ten sekret lepiej zachować dla żółtookich. — Rozdzielił się, ale tamci nigdy nie wrócili. I Riley nas zostawił, i nie wrócił nam pomóc, tak jak obiecał. A potem się zaczęło i wszędzie latały tylko takie białe kawałki.
— Wzdrygnęłam się na wspomnienie bezgłowego tulowia, na który wpadłam. — Bardzo się bałam. Chciałam uciekać. — Wskazałam głową Carlisle'a.
— I wtedy ten żółtooki powiedział, że jeśli przesta-
nę walczyć, nic mi nie zrobią.

Nie chciałam zdradzać Carlisle'a, ale akurat to Jane już wiedziała.

– Tak, tyle że on nie jest upoważniony do oferowania takich prezentów – powiedziała Jane. Wyglądało na to, że dobrze się bawi. – Złamałaś nasze zasady i musisz ponieść konsekwencje.

Wciąż udając idiotkę, patrzyłam na nią tak, jakbym nie potrafiła pojąć jej słów.

Jane spojrzała na Carlisle'a.

– Jesteś pewien, że wylapaliście wszystkich?

Tych, co się rozdzieliłi, również?

Skinął głową.

– My też się rozdzieliśmy.

A więc tamte wyjące wampiry dopadły Kristie. Miałam nadzieję, że cokolwiek naprawdę były, okazały się bardzo, bardzo przerażające. Kristie na to zaszła.

– Nie mogę zaprzeczyć, że mi zaimponowaliście. – Jane zdawała się mówić szczerze i nawet jej uwierzyłam. Przecież liczyła na to, że armia Victorii wygra tę bitwę z zółtookimi, a tymczasem ponieśliśmy klęskę.

Jej trzech towarzysze wydali z siebie pomruk aprobaty.

– Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby ktoś wygrał mimo takiej przewagi liczebnej przeciwnika i nie poniósł przy tym żadnych strat – ciągnęła Jane. – Czy macie na to jakiś wytłumaczenie?

To ekstremalne zachowanie, zważywszy na wasz styl życia. I czemu kluczem była ta wasza mała?

– Z niechęcią zerknęła na Bellę.

– Victoria żywiła do Belli urazę – wyjaśnił rudowłosy.

A więc cała strategia Rileya w końcu nabrała sensu. On chciał po prostu zabić dziewczynę i nie było istotne, ilu nas będzie potrzeba, aby tego dokonać.

Jane zaśmiała się radośnie.

– Wasza mała... – uśmiechnęła się do dziewczyny tak samo, jak przedtem do mnie – ...zdaje się wywoływać u przedstawicieli naszej rasy nadszybczy silne reakcje.

Belli nic się nie stało. Może Jane nie chciała jej skrzywdzić, a może jej okropna umiejętności działała wyłącznie na wampiry.

– Czy mogłabyś tak nie robić? – zażądał rudowłosy głosem spokojnym, ale pełnym kontrolowanej złości.

Jane po raz kolejny się uśmiechnęła.

– Tak tylko sprawdzam. Nic jej nie jest, prawda? Próbowałam zachować niewinny wyraz twarzy i nie zdradzić swego zainteresowania. A więc Jane nie mogła krzywdzić Belli tak, jak krzywdziła mnie, i widocznie było to niemożliwe. Wprawdzie Jane udawała rozbawienie, lecz widziałam, że dostaje szatu. Może dlatego zółtoocy tolerowali tę

ludzką dziewczynę? Ale skoro Bella była tak wyjątkowa, czemu po prostu nie zmienili jej w wampirka?

— Cóż, nie zostało nam wiele do roboty — powtórzyła Jane zupełnie beznamiętnym tonem.

— Dziwne. Nie jesteście przyzwyczajeni do tego, że się nas wyręcza. No i pluję sobie w brodę, że przegapiłszy bitwę. Musiał być to wyjątkowo zajmujący spektakl.

— Tak — przyznał rudowłosy. — A byliście już tak blisko. Wystarczyło się tu zjawić pół godziny wcześniej. Mielibyście też wówczas okazję spełnić swój obowiązek.

Z trudem powstrzymałam uśmiech. A więc rudowłosy wampir w istocie czytał w myślach i zrozumiał wszystko, co chciałam mu przekazać. Jane się nie upieczę. W tej chwili patrzyła na rudowłosego ze zdziwieniem.

— Wielka szkoda, że wyszło, jak wyszło, nieprawdaż?

Wampir skinął głową, a ja zastanawiałam się, czy potrafi czytać także w myślach Jane.

Ona natomiast spojrzała na mnie, ukazując swoją twarz bez wyrazu. W jej oczach widziałam jedynie pustkę, ale czulam, że mój czas się skończył. Dostała ode mnie to, czego potrzebowała. Nie wiedziała tylko, że przekazałam również tamtemu wszystkim, co wiedziałam. I że chroni-

łam tajemnice jego zgromadzenia. Byłam mu to winna. Ukarał Riley'a i Victorię. Zerknęłam na niego kątem oka i pomyślałam: *Dziękuję.*

— Felix? — leniwie rzuciła Jane.

— Czekaj — przerwał jej rudowłosy.

Odwrócił się w stronę Carlisle'a i zaczął szybko mówić:

— Czy nie moglibyśmy wytłumaczyć jej, jakie są zasady? Wydaje się skłonna do nauki. Nie wiedziała, że występuje przeciwko prawu.

— Oczywiście, że moglibyśmy się nią zająć — natychmiast odpowiedział Carlisle, patrząc na Jane.

— Jestem gotowy przyjąć ją pod swoje skrzydła.

Jane wyglądała tak, jakby zastanawiała się, czy tamci dwaj żartują.

A ja mogłam się jedynie wzruszyć. Żółtookie wampiry mnie nie znały, ale zaryzykowały dla mnie życie. Wiedziałam, że i tak nic to nie pomoże, ale byłam im wdzięczna.

— Nie robimy wyjątków — odparła rozbawiona Jane. — I nie dajemy nikomu jeszcze jednej szansy. Zaskodziłoby to naszej reputacji.

Czulam się tak, jakby rozmawiali o kimś innym. Nie przejmowałam się tym, że Jane chce mnie zabić. Wiedziałam też, że żółtoocy jej nie powstrzymają. Jane należała do wampirzej policji. Ale ta policja była skorumpowana — i to poważnie — a ja przyczyniłam się do tego, że żółtoocy już o tym wiedzieli.

– Właśnie, *à propos*... – ciągnęła Jane, wbijając wzrok w Bellę i uśmiechając się szeroko. – Kajusza na pewno zainteresuje fakt, że jesteś ciągle człowiekiem, Bello. Być może zdecyduje się złożyć wam wizytę.

Ciągle człowiekiem. A więc mieli zamiar przemienić dziewczynę w wampira. Ciekawe, na co czekali.

– Mamy już ustalony termin – wtrąciła się po raz pierwszy drobna wampirzyca z krótkimi czarnymi włosami i czystym głosem. – Być może to my za kilka miesięcy złożymy wam wizytę.

Z twarzy Jane natchmiał zniknął uśmiech. Wzruszyła ramionami, nie zaszczycając czarnowłosej wampirzycy nawet spojrzeniem, i zrozumiałam, że choć mocno nienawidzi Belli, to dziesięć razy bardziej nienawidzi żółtookiej. Jane odwróciła się do Carlisle'a i rzuciła lekceważąco:

– Miflo było cię znowu zobaczyć, Carlisle. A sądziłam, że Aro przesadza... Cóż, do następnego razu.

I nadszedł ten moment. Wciąż nie czułam strachu. Żałowałam tylko, że nie zdążyłam zdradzić więcej Fredowi. Wszedł nieprzygotowany w ten świat pełen niebezpiecznej polityki, skorpompowanych gliniarzy i tajnych zgromadzeń. Ale Fred jest inteligentny, ostrożny i utalentowany. Co mu zrobią, skoro nawet go nie zobaczą? Może żółtoocy pewnego dnia spotkają Freda.

Bądźcie dla niego dobrzy, przekazałam rudowłosemu wampirowi.

– Pośpiesz się, Felix – nakazała Jane swojemu kompanowi, skinąwszy głową w moją stronę. – Wracajmy już do domu.

– Zamknij oczy – szepnął rudowłosey wampir. Tak zrobiłam.

Podziękowania

Jak zawsze jestem bardzo wdzięczna wszystkim, dzięki którym powstała ta książka: moim chłopcom Gabé'owi, Sethowi i Eliemu, mojemu mężowi Pancho, moim rodzicom Stephenowi i Candy, moim cudownym przyjaciółkom Jen H., Jen L., Meghan, Nic i Shelly, mojej agentce ninja Jodi Reamer, mojej „baffy” Shannon Hale, wszystkim moim przyjaciółom i mentorom w wydawnictwie Little, Brown and Company, zwłaszcza Davidowi Youngowi, Asyi Muchnick, Megan Tingley, Elizabeth Eulberg, Gail Doobin, Andrew Smithowi i Timie McIntyre, a przede wszystkim – moim czytelnikom. Jesteście najlepszymi odbiorcami, jakich można sobie wyobrazić. Dziękuję!

Drugie życie Bree Tanner

to porywająca opowieść na motywach trzeciej części sagi „Zmierzczeni”. Doskonale łączy tajemnicę, suspense i romantyczną intrygę. Wielbiciel Stephenie Meyer z pewnością zafascynują niezwykle losy tytułowej bohaterki. Bree stawia pierwsze kroki w złowrogim świecie nowo narodzonych wampirów.

Jej zmysły są wyostrzone, ma nadludzkie zdolności, nieograniczoną siłę fizyczną i dręczy ją nieustające pragnienie ludzkiej krwi. Wcielona do przerażającej armii nowo narodzonych przygotowuje się do decydującej walki.

Wynik starcia może być tylko jeden...

Stephenie Meyer jest autorką bestsellerowej sagi „Zmierzczeni” oraz powieści *Intruz*. Ukończyła wydział literatury angielskiej na Brigham Young University. Mieszka w Arizonie wraz z mężem i trzema synami.

saga zmierzchn



 www.publicat.pl
Wydawnictwo
Dolnośląskie
ISBN 978-83-245-8981-4

9 788324 589814
P.WD.MEY007.1.01
cena 29,90 zł


czytaj po zmierzchu
www.pozmierzczeni.pl